

WIEŻOWIEC W CZASACH PANDEMII



DOROTA KARŁO

Copyright © by Dorota Karło, 2020

Korekta i skład:
Aleksandra Karło

Grafika na stronie tytułowej i grafiki wewnątrz książki:
Dorota Karło

W wykonaniu wykorzystano zdjęcia ogólnodostępne z:
oficjalnego fanpage'u: Łodzi i Ogrodu Botanicznego w Łodzi

<https://www.polskieszlaki.pl/>

Wydawca

© Dorota Karło RESPONDO

www.respondo.com.pl

Łódź, maj 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-955922-1-8

Kopiowanie i rozpowszechnianie tekstu
za pomocą urządzeń elektronicznych jest zabronione.

Od autora:

„Wieżowiec w czasach pandemii” to zbiór opowieści mieszkańców fikcyjnej wspólnoty mieszkaniowej. Ich słowami autor przekazuje własne emocje i obraz polskiej rzeczywistości w okresie styczeń- kwiecień 2020.

Wszelkie analogie z postaciami widocznymi w naszej rodzimej przestrzeni publicznej są zamierzone.

Autor wymienia z nazwiska jedynie tych, którzy swoją postawą i działaniami zasługują na to, by istnieć w jego literackim, empatycznym świecie.

Ruch - warunkiem zdrowia



Dobrze, że zareagowałem błyskawicznie na te nowe zalecenia Ministra od zdrowia. Zapowiada się od jutra niezły ruch. - Myślałem, kończąc w niedzielę wieczorem przeglądanie nowych postów, które wymagały mojej akceptacji. Pełnię rolę administratora lokalnej grupy sąsiedzkiego wsparcia w naszym wieżowcu.

We wtorek Minister o umęczonym wzroku i złoto-, a nawet krzywousty, Premier uderzyli w moje prawo do uprawiania sportów. Nawet nie wiedziałem, że takie coś istnieje, dopóki ten od zdrowia tego nie powiedział. Człowiek zawsze może dowiedzieć się czegoś zaskakującego, słuchając ludzi na różnych stanowiskach. Zaskakującego albo nawet... głupiego.

Wziąłem sobie mocno do serca jego słowa o bieganiu. Gdyby padły w prima aprilis ...? Ale padły przecież dzień wcześniej. Zacząłem nawet główkować, że może w tym moim bieganiu rzeczywiście nie chodzi o szlifowanie i utrzymanie formy, tylko o to przewietrzanie. Czyżbym dotąd tkwił w niewiedzy? Startuję w różnych biegach długodystansowych, nawet maratonach, już szósty sezon. Może niewłaściwie się do nich przygotowuję, skoro i tak sporo się co dzień wietrzę? A od kiedy wirus z koroną nawiedził i moje miasto, wietrzę się znacznie więcej. Pies Alojzego Kozłowskiego, z ósmego piętra w mojej klatce, źle znosi towarzystwo trzech rozszekanych yorków z drugiego. Siedemdziesięcioletnia Marciniakowa ma dużo różnych chorób, zaczynając od otyłości i wchodzenie po schodach ją męczy. Niestety boi się teraz wsiadać do windy, nawet jak wie, że jest dezynfekowana dwa razy na dobę. Może powinienem jednak pogadać o tym z naszym proboszczem? Jego by pewnie posłuchała, bo lubi go słuchać. Nawet w Internecie. Marciniakowa ma zawsze ustawione na maksa głośniki w swoim komputerze i aktywnie uczestniczy w nabożeństwie. Uwielbia śpiewać z proboszczem. Dobrze, że słucha wyłącznie audycji z naszej parafii i nie znosi tego zamulacza i obłudnika z Torunia. Nawet na niego pluje. Może liczyć na moją pomoc. O świecie wyprowadzam do parku owczarka niemieckiego pana Kozłowskiego. Mimo dość sędziwego wieku Wezyr - tak się wabi - lubi nadal swobodnie sobie pobiegać, a po szóstej jest tu zupełnie pusto. Odprowadzam go koło siódmej do jego pana. Yorki Marciniakowej zabieram około 7.15. na półgodzinny spacer. Potem robię jeszcze rudkę wokół wieżowca z pięcioletnią Duszką - jamniczką, która cierpi na niedowład tylnych łap i ciągnie je na wózk. Mojej przemiłej, osiemdziesięcioletniej sąsiadce, babci Majchrzak, sporo czasu zabiera zakładanie ciepłych ciuchów rano. W ciągu dnia, starsza pani zajmuje się już Duszką sama, ale o 20.30 to ja wyprowadzam jamniczkę na wieczorną toaletę, zabierając jeszcze buldoga francuskiego Witkowskich z czwartego piętra i Wezyra. Od razu zbieram szufelkę psie kupy i wrzucam do worka, a potem

do specjalnego kosza w naszym śmietniku. Szufelkę wrzucam do pojemnika z wodą. Około piętnastej pan Włodek myje wszystkie, które w nim zastanie i wywiesza do wysuszenia. Wymienia też wodę.

Alojzy Kozłowski - emerytowany patolog - który od ośmiu lat mieszka już sam, porusza się obecnie o lasce, ale zawsze wychodzi z Wezyrem koło południa na jego kolejny długi spacer do parku. Tyle, że już go nie puszcza, a mądry, dobrze wyszkolony owczarek idzie koło niego spokojnie. W parku pan Alojzy lubi z kimś pogadać lub nawet rozegrać jakąś partyjkę szachów, choć ostatnio nie ma ku temu okazji, bo ludzie unikają teraz takich spotkań, zwłaszcza od wtorkowego zarządzenia Ministra od zdrowia. Ale Alojzy Kozłowski nie boi się ani windy, ani koronawirusa. Często mawia: „Każdy musi kiedyś na coś umrzeć, a kto jest słabej dupy i od chleba umrze. Mój tyłek jest na szczęście twardy.” Może się nie boi, bo już dużo przeżył, a może dobrze rozumie naturę tego „dziada”, który postawił tak nagle nasze życie na głowie. Pan Alojzy dba bardzo o higienę - także umysłową - racjonalnie się odżywia, nie pali, za to codziennie wypija sobie kieliszeczek koniacczku lub dobrej naleweczki „dla zdrowotności” i chyba wie, co mówi, bo stuknęło mu w tym roku osiemdziesiąt dziewięć lat, a trzyma się świetnie, choć korzysta teraz z laski. Senior Kozłowski to szalenie ciekawy człowiek. Pomagał często w dochodzeniach i rozpoznawaniu przyczyn zabójstw lub zgonów naszym kryminalnym. Wiele lat temu napisał pod pseudonimem cykl kryminałów. Domyśliłem się tego, bo przecież widzę co stoi na jego bibliotecznych półkach i często z sobą rozmawiamy, ale... szanuję jego prywatność.

W nocy z 1 na 2 kwietnia, przegadałem mocno nurtujący mnie problem z Kubą - chemikiem z szóstego piętra trzeciej klatki - Michałem - magistrem informatyki, wynajmującym ze swoją dziewczyną dwupokojowe mieszkanie na dziesiątym piętrze w środkowej klatce - oraz panem Kazikiem z parteru w trzeciej klatce - specjalistą od montażu instalacji gazowych i sanitarnych. Towarzyszył nam jak zwykle pan Włodek - nasz lokalny bezdomny. Zachowaliśmy wszelkie zasady odnośnie zgromadzeń. Podczas naszej pracy i dyskusji leciała, aż czterokrotnie, transmisja z mszy. Michał przyniósł na laptopie różne nagrania, ale tylko te z toruńskiej telewizji. Kończyliśmy produkcję kolejnej porcji bimbru w piwnicy - solidarnie wszyscy mieszkańcy zrzucają się na cukier i drożdże, by zapewnić stały dostęp do najważniejszego składnika środka do regularnej dezynfekcji wszystkich ciągów komunikacyjnych i wind w naszym wieżowcu, tak jak to zobaczyliśmy na filmach z Chin - dlatego tylko hochsztapler w sutannie mógł nam tutaj towarzyszyć. A skoro więcej niż dwie osoby dozwolone jedynie podczas mszy ...

Rano, już bez oporów, wywiesiłem nowy grafik na wszystkich piętrach. Bym nikogo nie zaskoczył. Wyszło mi na to, że jednak znacznie lepsze efekty osiągnę nie koncentrując się jedynie na „przewietrzaniu”. Zdecydowałem się na bieganie po schodach, przemieszczając się po wieżowcu między klatkami górą, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Odcinek na powietrzu, między 1 a 3 klatką, pokonuję krótkim spacerem, tak jak zalecił Minister od zdrowia. Kuba i Michał od razu zadeklarowali swój udział we wspólnym treningu - z zachowaniem wszystkich zasad higieny i bezpieczeństwa - dzięki czemu oszczędzam czas niezbędny do wieczornej dezynfekcji wieżowca.

Po nowym zarządzeniu Ministra od zdrowia i wywieszeniu w środę rano mojego grafiku, zaproponowałem od razu naszym sprawniejszym seniorom spacerować po wieżowcu, ze zmianą klatek, zgodnie z ruchem wskazówek zegara w godzinach 18.00 - 19.00. Zaskoczyli mnie swoimi poprawkami. Zaproponowali na naszym webinarze i czacie - dobrze, że przez dwa lata wygrywaliśmy też konkursy na dofinansowanie projektów na zajęcia informatyczne - różne spacerować tak, by nie tylko zintensyfikować ich częstotliwość, ale także dostosować je do możliwości i potrzeb każdego. Zwrócili mi przy tym uwagę, że ich ulubione seriale mają swoje godziny, niepodlegające dyskusji i owszem, wchodzenie mężczy bardziej, ale jest też zdecydowanie bezpieczniejsze. Nie wymaga przy tym tak dużej asekuracji ze strony poręczy jak schodzenie. Alojzy Kozłowski wskazał mi przy okazji wolny termin nawet na spacer Marciniakowej, o ile tylko odważy się wsiąść do windy.

Pamiętałem też, o czym rozmawiałem wczoraj rano z babcią Majchrzak.

- Tomuś - zagadnęła mnie, kiedy jedliśmy nasze śniadanie. Ona przy stoliczku w swoich drzwiach, ja w swoich. Zobaczyła to gdzieś w Internecie i teraz jak wychodzę na poranny spacer z Duszką wystawiam stolik przed swoje drzwi, a kiedy wracam czeka na nim śniadanko.- Zabierz ten swój rower na górę.

- Nie chcesz już na nim jeździć?- zdziwiłem się (jesteśmy z babcią Majchrzak na ty).

- Mam swoją piłkę. A te ćwiczenia dla seniorów, które znalazłeś ostatnio na YouTube są bardzo dobrze prowadzone. Wystarczy mi taki ruch.

- Tereska, rozumiem, że nie jest tak wygodny jak te, które kupiliśmy, ale sama mówiłaś, żeby dać ostatni dziewczynom spod ósemki.

- I bardzo dobrze, że tam trafił - skomentowała.- Ja mogę jeździć na tym twoim i nawet nie przeszkadza mi jak hałasujesz na moim balkonie, ale to Ola potrzebuje go najbardziej - wyjaśniła.- Ona tak bardzo o nas dba i przeżywa to wszystko.

Postaw go w tej wnęce przy suszarni, obok okna. Oboje możecie tam jeździć. Inni zresztą też.

No jasne! Mogą Olce wlepić mandat jak nie wykaże, że jedzie rowerem do pracy. - Rozmyślałem teraz gorączkowo.

Ola Szulc - młoda lekarka - zdecydowała, że skorzysta ile się da z rozporządzeń rządu. Ale nawet potem nie wróci szybko do pracy w szpitalu. Jej mąż Krzysiek - ratownik medyczny - musi teraz wystarczyć służbie zdrowia. Ktoś przecież musi zajmować się dwójką dzieciaków, nie narażając się stale na możliwość zakażenia. On sam zadbał już o to, by przypadkowo nie przynieść wirusa do wieżowca. Mieszka teraz w innej dzielnicy u kolegi lekarza, którego żona - w trzecim miesiącu ciąży - przeniosła się z kolei do Oli. Uznali, że tak będzie dla wszystkich najlepiej, zwłaszcza, że u nas mieszka pani Krysia Kwiatkowska, która była kiedyś pielęgniarką i położną. Ciężarna współlokatorka Oli uczyła matematyki i fizyki w liceum. 6 marca zdecydowała, że przyszłe, własne dziecko jest dla niej ważniejsze. Poszła na zwolnienie. Pomaga teraz dzieciakom Oli w edukacji wczesnoszkolnej, ale prowadzi też zajęcia on-line z fizyki dla swoich maturzystów. Korzystają z nich i ci nasi, w wieżowcu.

W dniu, w którym wykryto w kraju pierwszy przypadek koronawirusa Krzysiek przewiózł z prywatnego gabinetu kolegi, który teraz pracuje jedynie w szpitalu, kompaktowy ultrasonograf. Jednym transportem wraz z wyposażeniem z gabinetu żony - Ola ma specjalizację z kardiologii. Razem z panią Krysią Kwiatkowską utworzyły w dawnej pralni punkt medyczny. Na razie działa głównie zdalnie. Seniorzy oraz wszyscy inni chorujący na coś przewlekłe wysyłają codziennie Oli wyniki mierzonego samodzielnie ciśnienia, temperatury, poziomów cukru. Konsultują z nią dawki leków. Jest do tego przyzwyczajona, bo w ubiegłym roku, w ramach naszego lokalnego projektu informatycznego, wdrożyliśmy u seniorów też pomoc e-lekarza. Doktor Szulc będzie teraz wystawiać wszystkim e-recepty, które zrealizuje dla każdego studentka Jola - pomaga teraz, a przy okazji realizuje dalej program studiów, w aptece. Pani Krysia będzie robiła w razie potrzeby EKG - szybko to opanowała. To ona też ogarnęła logistycznie konieczność robienia badań krwi tym, którzy muszą je robić z uwagi na swoje leki. Co dwa tygodnie - w środę między 7.00 a 8.30 - ma przychodzić do nas babeczka z laboratorium. Na początku ci z laboratorium mieli opory, ale jak sami zobaczyli nasz punkt medyczny ...

Babcia Majchrzak uświadomiła mi, że lekarka Ola przechodzi duży kryzys, bo pozbawiono ją nie tylko obecności męża, ale i możliwości jazdy rowerem po różnych terenach zielonych, co robiła nawet teraz - codziennie podczas nauki swoich

dzieciaków, po tym, jak już ogarnęła potrzeby zdrowotne swoich pacjentów i seniorów.

- Dobra - zdecydowałem.- Jeszcze dzisiaj wieczorem przeniosę go z Michałem. Ale też będziesz tam na nim jeździła.

- Ciekawe kiedy?

- Sama się przekonasz. Zamocujemy na ścianie głośnik i uchwyt na telefon, żebyś sobie mogła słuchać koncertów w czasie jazdy. Co gotujesz dzisiaj? - zaciekałem się.

- Pomidorówkę z makaronem. Tylko przynieś mi jeszcze jeden słoik przecieru. Z dwóch zupa nie będzie taka, jak lubisz. Wiesz - kontynuowała po chwili - jakby ci nasi rządzący mieli rozum, choć w połowie taki jak my, to by ten zmęczony minister nie musiał dalej tyle kombinować. Przez to wszystko nawet na spacer z kijkami do parku nie wolno już chodzić. O psach nawet nie wspominał.

- Wezrya i tak wyprowadzam wcześniej. A Alojzy i ty możecie powiedzieć, że o tym zapomnieliście.

- Możemy - przyznała.- Ale po co? Niech lepiej Witkowski wykorzysta prawo, bo pojawią się taśmy. Sam wkrótce zobaczysz.

W wyniku różnych rozmów powstał taki seniorski grafik i regulamin:

„• *Spacer do parku z psem między 10.00 - 12.00 - wyłącznie ze skorzystaniem z windy powyżej drugiego piętra (tak jak dotąd) - okna otwarte na każdym półpiętrze obowiązkowo w przypadku ładnej pogody - lub bez psów po chodnikach dookoła wieżowca w godz. 12.00 - 13.00, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.*

• *Godzina 14.30 - 16.30 - spacer (maksymalnie półgodzinne) do wyboru: po łączniku na górze między klatkami z wjazdem windą na 10 piętro lub spacer wyłącznie swoją klatką, zaczynając od swojego mieszkania, ze zjazdem na dół i ponownym wejściem na swoje piętro.*

Dopuszczalnie: dwie osoby w każdym ciągu komunikacyjnym, w przypadku spacerów współlokatorów - cztery (zapisy chętnych u pana Alojzego Kowalskiego). Zapewniamy w łączniku muzykę relaksacyjną. Możliwość piętnastominutowej jazdy na rowerze stacjonarnym - wyłącznie dla lokatorów, którzy nie posiadają go w swoim mieszkaniu (zapisy u pani Teresy Majchrzak).

Należy przestrzegać opracowanego grafiku, by zapewnić płynność w korzystaniu z wind.”

Zaproponowałem by głosować od razu nad zatwierdzeniem całości. I tak się stało. Wszyscy seniorzy, nawet Marciniakowa, oraz przedstawiciele dzieci, rodziców

oraz naszych mniejszości (studentów, singli lub par bezdzietnych), a także ja i pan Włodek byliśmy „za”. Poprosiłem też emerytowanego prawnika Witkowskiego oraz panów: Staszka i Alojzego - oni mają największą fantazję - o przygotowania pisma na wypadek interwencji służb mundurowych w parku.

W sobotę rano znalazłem na swojej poczcie takie:

„Jako właściciele, a zarazem rzecznicy swoich czworonogów informujemy, że nie mogą oni samodzielnie opuszczać domów, by załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Grozi im wypadek lub schwywanie, a nam w takim przypadku mandat oraz pokrycie kosztów wyrządzonych przez nie szkód.

Park jest obecnie jedynym miejscem, w którym mogą, bez zakłócania porządku publicznego, zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Dzięki nowym zarządzeniom władz, między 10.00 a 12.00 istnieją optymalne warunki do pobytu czworonogów w naszym parkowym zieleńcu. Dorośli są w pracy, także tej zdalnej wykonywanej w swoich domach lub opiekują się w nich dziećmi. Dzieci i młodzież realizują zdalnie obowiązek szkolny. Tak przynajmniej jest w naszym wieżowcu. Ludzie starsi chodzą na swoje zakupy - my nie musimy, od tego mamy sąsiadów - zajmują chodniki, podobnie jak matki z wózkami.

Jesteśmy jedynymi osobami, które mogą w ciągu dnia pomóc czworonogom - nasi sąsiedzi wtedy pracują. Zwracamy przy tym uwagę, że to nie my wyprowadzamy czworonogi, tylko one nas. My wolelibyśmy jak najmniej chodzić, zwłaszcza, że poruszamy się o laskach. Spacer z psem na smyczy po zatłoczonych chodnikach naraża nas na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Rząd nie może zabronić nic czworonogom - ich nie powstrzyma nawet ogrodzenie całego parku taśmą - tylko nam. I to nas zmusicie do puszczenia naszych przyjaciół bez opieki na ich ukochane trawniki. Tyle, że my nie zbierzemy potem ich odchodów, jak to zawsze robimy. A w przypadku szkód, które narobią, a tym bardziej jakiegoś wypadku z uszczerbkiem dla ich zdrowia, obciążymy kosztami rząd, o co wystąpimy na drodze prawnej.

Podpisano ...”

Wymienili imię każdego psa i nazwiska właścicieli, ale nie poprzestali na tym. O, nie! W drugim piśmie było upoważnienie właścicieli do wyprowadzania ich psów rano i wieczorem przez konkretne osoby w wieżowcu. Kazali mi wpisać dane wszystkich pełnoletnich za wyjątkiem jednego.

- Męża Kasi, Tomku, nie wpisuj - powiedział pan Kozłowski, kiedy odprowadzałem Wezyra.

Nie zdziwiło mnie to. W sumie miał rację. Facet i tak siedzi w biurze na tej kwarantannie. Nie wiadomo nawet, co z tego wyniknie.

- Skąd weźmiecie laski, panie Alojzy? - zainteresowałem się jeszcze.

- Sam mam cztery - wyjaśnił - ale tylko jedną z dofinansowania NFZ. Dam ją Kaziowi Millerowi. Tadzio Witkowski wybrał sobie granatową. Większość dziewczyn i tak ma już eleganckie laski, takie z parasolką. Zaszalały jesienią, jak zobaczyły mój brązowy parasol. Będziemy się na razie wymieniać, ale do świąt powinny dotrzeć parasole, które teraz wybieramy. Już to załatwiam.

Kopię głównego pisma dostał każdy właściciel psa. Skan, jeszcze tego dnia wieczorem, wysłałem do Prezydenta Miasta, przewodniczącego Rady Miasta, komendantów: Policji i Staży Miejskiej. Jeden z sześciu oryginałów trafił do dokumentacji prawnika Witkowskiego, pozostałe wysłano, za potwierdzeniem odbioru, do kancelarii Premiera i Ministrów: Zdrowia, Finansów, Sprawiedliwości, a nawet Obrony Narodowej nazywanego u nas - Ministrem na czas klęski i wojny.

W piątek wieczorem skonfrontowałem jeszcze raz wszystkie ostatnie ustalenia z grafikami dzieciaków.

14 marca Agata - atrakcyjna brunetka, żona chemika Kuby - zaproponowała na grupie, by nie tylko jej syn, ale i wszystkie dzieciaki z wieżowca, od czwartej klasy w górę, brały udział nie tylko w jej zajęciach tanecznych online - jest nauczycielką wychowania fizycznego - ale realizowały także treningi wzmacniające na schodach.

Jak zwykle poddaliśmy to dyskusji i głosowaniu. Tym razem wstrzymałem się od głosu, ale przeszły wszystkie cztery zgłoszone przeze mnie poprawki:

Na klatce schodowej wyłącznie w dni robocze, między 10.30 a 12.00.

Obowiązuje ściśle ustalony grafik.

Można ćwiczyć jedynie obok swoich mieszkań i pod kontrolą rodziców (mogą ustalić między sobą dyżury). Nie wolno korzystać w tym czasie z wind.

Po zajęciach należy dokładnie umyć poręcze i klamki płynem dostępnym w pojemnikach.

Tylko trzy rodziny w naszym wieżowcu były przeciwne ćwiczeniom na schodach, ale przecież nikt nie zmuszałby ich dzieciaki brały w nich udział. To była jedynie propozycja. Po nowej, wtorkowej decyzji Ministra od zdrowia wszystkie trzy zmieniły zdanie. Smarkaczy zbyt roszadzała energia.

Już w sobotę rano miałem wywiesić nowy grafik, obowiązujący od niedzieli, ale obserwowałem od jakiegoś czasu już nie wrzenie, ale bunt na naszym forum. Zaczęło się oczywiście we wtorek, po tych nowych zarządzeniach. Małżonkowie,

a nawet ci, co śpią w jednym łóżku żyjąc jedynie na kocią łapę, zirytowali się w obliczu konieczności zachowania odpowiedniej odległości na powietrzu. Czekalem, czy ktoś znowu z czymś nie wyskoczy. Nie zamierzałem marnować czasu ani papieru. Zrobiła to ponownie Agata. Gdyby by zaproponowała to Kasia, blondynka z drugiej klatki, która poprosiła mnie o pomoc we wtorek, to bym się wcale teraz nie namyślał. Przez dwa dni znosiłem jej różne gałęzie i patyki z parku tylko dlatego, że nie wiedziałem po co. Nie oglądałem telewizji publicznej, choć chyba teraz czasem powinienem. Dopiero jak wczoraj chciała udostępnić w naszej grupie doskonały program edukacyjny dla dzieci, skapnąłem się, że chyba buduje na balkonie gniazdo dla bocianów. Co za kretynka! Na trzecim piętrze w wieżowcu? Pomyślała Kasi, uziemionej teraz z dziećmi w mieszkaniu, potrafią nawet mnie wykończyć. Może to dlatego jej chłop poszedł w politykę? Ale i tak zrobiło mi się jej żal, bo zamartwiała się o jego kwarantannę. Podobno w Warszawie miał kontakt z jakimś zakażonym. Sam zdecydował, że zostanie w biurze szefa - posta - przez najbliższe dwa tygodnie. Nie chciał ryzykować, że przeniesie coś na rodzinę. Wychodzi na to, że to jednak porządny chłop, choć opcja polityczna i światopogląd beznadziejne.

Agata zaproponowała spacer małżeńskie, albo spacer rodzica z jednym dzieckiem między 19.00 a 21.00. po klatkach. Wyłącznie rotacyjnie, tak jak biegamy z jej mężem. Zachowując odstęp, z możliwością wyprzedzania na powietrzu, podczas rundki dokoła wieżowca. Byłem pewien, że sama chce pobiegać z szesnastoletnim synem, dlatego bardzo długo się namyślałem, zanim uzupełniłem cały nasz dzienny grafik o kolejne punkty:

17.30 - 18.30 - Możliwość wypożyczenia psa na spacer - jeden rodzic ze swoimi dziećmi w wieku przedszkolnym lub z klas I-IV. (Zapisy u pani Zofii Miller)

19.00 - 19.45 - Wieczorny spacer po schodach, między klatkami 1 i 3 - przeznaczanie wyłącznie z ruchem wskazówek zegara - z możliwością obejścia wieżowca po wyznaczonych chodnikach i wjazdem windą w trzeciej klatce. Możliwość zapisów z osobą towarzyszącą - wyłącznie współlokatorem. Ze spaceru wyłączone są dzieci poniżej 10 roku życia i osoby powyżej 65 -go. W czasie spaceru obowiązują wszystkie dotychczasowe zasady oraz dodatkowa - zachowanie odstępów około min. co dwie kondygnacje. (Zapisy u pani Agaty Bednarek)

Chciałem uniknąć sytuacji, w której pary będą zbyt blisko siebie z uwagi na różne tempo spacerowania. Pomyślałem też o Oli i jej współlokatorce. Mogłyby sobie razem pospacerować puszczać dzieciakom jakąś bajkę. Może skorzystają też panie: Helena i Małgosia, które mieszkają razem. Obie skończyły sześćdziesiątkę, ale mieszczą się w wyznaczonym przedziale. Na nic przewlekłe nie chorują, ale

mają nadwagę. To do nich trafił ostatni z naszych trzech rowerów stacjonarnych, kupionych w ubiegłym roku w ramach projektu „Aktywny senior”. Taki z wygodnym siedziskiem i podparciem pod plecy.

20.00 -21.00 - Marszobiegi po schodach między klatkami 1 i 3, zgodnie z ruchem wskazówek zegara dla dwóch dowolnych członków rodziny z przejściem między klatkami na dole.(Zapisy u pani Agaty Bednarek)

Musiąłem wszystko dostosować do tego, co powiedział Minister. Około czwartej wysłałem do Agaty SMS-a: „Jak chcesz biegać, to wyłącznie jak my. Dobrze to zaplanuj i pilnuj porządku.” Odpisała mi po dziewiętej: „Załatwione. Dzięki Tomek.”

Kuba, Michał i ja codziennie, od środy 2 kwietnia, o godz. 21.30. wychodzimy przed swoje klatki schodowe w ubraniach treningowych, opaskach z telefonami na ręce i słuchawkami. Po drodze zostawiamy w piwnicy worki z czystymi ciuchami, zakładamy rękawice, oddychające maseczki i okulary ochronne, zabieramy, naładowane wcześniej, odkurzacze bezprzewodowe. Otwieramy szeroko i blokujemy drzwi wejściowe do każdej klatki. Wchodzimy swoimi ciągami na górę, odkurzając je po drodze. Łącznik na górze sprzątamy wspólnie w swoich sektorach. Po zakończeniu tej pracy zostawiamy środki ochrony osobistej i odkurzacze w suszarni, za której odkurzenie odpowiada Michał, bo jest nad jego klatką. On też wciąga do niej urządzenie do jonizacji powietrza. Wykonujemy kilkuminutowe dynamiczne rozciąganie nóg i ruszamy w dół w swoich odstępach. Pierwsze okrążenie to spokojne zejście pierwszą i wejście trzecią klatką, ale już co drugi stopień, na górę. Drugie: zdecydowanie szybszy marsz w dół, zwolnienie między klatkami, i wejście na górę w rytmie tabaty - co drugie piętro dynamiczny skipping. Czekamy, aż wszyscy pojawimy się w łączniku. Programujemy telefony na 30 minut i ruszamy na trasę w odstępach piętnastosekundowych. Dopiero teraz zaczyna się bieganie, szlifujące kondycję. Każdy robi tyle okrążeń, ile potrzebuje. W optymalnym dla siebie tempie, nawet marszowym. Na schodach nie obowiązują nas zalecenia, takie jak na powietrzu, ale i tak staramy się wyprzedzać wyłącznie podczas ruchu w poziomie. Bo tak się umówiliśmy. Jeśli któryś z nas skończy swoje bieganie wcześniej, wchodzi do suszarni i korzystając ze swojej maty zaczyna relaksację z rozciąganiem statycznym aktywnym. Ja rozciągam się zawsze na korytarzu. Matę dla siebie od razu wieszam, obok wejścia na moją klatkę.

Najpóźniej o 23.15 wracamy na dół, swoimi klatkami, zamykając po drodze okna i rozkręcając teraz kaloryfery. Schodzimy wprost do piwnicy, w której zostawiamy telefony i słuchawki, bierzemy przyłbice, a na ubrania treningowe zakładamy

kombinezony robocze. Kilka kompletów przekazał nam pan Kazik, zawieszając swoją działalność gospodarczą.

- Pierdole tę całą tarczę, panie Tomku! - oznajmił mi, bez ogródek, 23 marca na ranem. - Mam w dupie te ich propozycje. Wojna z niewidzianym przeciwnikiem to nie czas na słuchanie tego politycznego pieprzenia. To czas racjonalnego działania. Dobry bimber nam wyszedł - skomentował, wyciągając alkoholomierz z kady z pierwszą partią naszego produktu - 79 %. Nasz chemik ma tęgi łeb. Aż szkoda, że cały pójdzie na ten płyn - westchnął.

- Produkcja nawet na własny użytek podlega karze, ale jak już ta wojenna zawierucha się skończy, wydestylujemy trochę dla siebie - obiecałem.

- Fajnie. - Ucieszył się. - Jak znalazł do nalewek żony. Jak pan myśli, kiedy?

- Stawiam, że w czerwcu zaczną wygasać.

- „Korona” i tak z nami już zostanie - wtrącił się pan Włodek. - Jakby uciekł z laboratorium, to może by wytrzebili, ale to robota przyrody.

- Tak pan myśli, panie Włodziu? - zaciekał się pan Kazik.

- Właśnie tak - przytaknął. - Miała już dość tego śmiecenia i trucia. Warto by już napowietrzyć glebę i rozluźnić darń, panie Tomku - zwrócił się do mnie.

- Niech pan weźmie to niebieskie urządzenie na kółkach. I proszę zapukać koło dziewiątej do pani Majchrzak. Upiekła wczoraj ciasto. Trzeba roznieść do kogo trzeba.

- Swój kawałek i tak zjem z nią przy kawie. - Roześmiał się. - Ona przy stoliczku na balkonie. Ja na ławeczce w jej ogródku. Zabiorę przy okazji Duszkę, żeby sobie pochodziła. Dobrze, że babcia ma swoje kwiatki przed wieżowcem. Lubi swoje hiacynty. Może nawet forsycje i tulipany zakwitną jej na Wielkanoc.

- Może - odpowiedziałem z uśmiechem.

- Kiedy dziewczyna pana Michała zaczyna produkcję naszego właściwego płynu? - przerwał nam pan Kazik.

- Po osiemnastej. Ma na imię Jola - przypomniałem mu. - Dołączy do niej pani Basia. Obiecała, że zrobi dla wszystkich balsam do dezynfekcji dłoni. Przyniesie odpowiednie składniki ze swojego zakładu kosmetycznego. Zawiesza działalność od kwietnia.

- Mądra kobitka - przyznał. - Jak większość w naszym wieżowcu.

- Mądry czy głupi, bez znaczenia - wpadł mu w słowa pan Włodek. - Byle nie był egoistą.

Nasz bezdomny - do dzisiaj nie mogę go rozgryźć - ma rację. Najważniejsze w obliczu kryzysu to nie myśleć tylko o sobie i własnym interesie. Jesteśmy zwie-

rzyną stałą, a w wieżowcu - naszej wspólnocie mieszkaniowej - dużo zależy od tego, jak wykorzystamy swoje różne umiejętności i zainteresowania. I jak będziemy stosować to, co sami, wspólnie wypracujemy. Zwłaszcza teraz.

Wracając do naszego trzyosobowego treningu. Po założeniu kombinezonów, opasek na głowę z przezroczystymi przyłbicami - drukuję je na swojej drukarce 3D - zakładamy na plecy pojemniki z płynem dezynfekującym, przygotowanym według receptury Joli, i ruszamy ponownie na swoje klatki. Tym razem wjeżdżamy windami na samą górę. Winda Michała zjeżdża na dół, a on schodzi od razu po schodach. Kuba dezynfekuje swoją windę w środkowej klatce i blokuje - zamkniętą na górze - zanim rozpocznie schodzenie w dół. Ja zaczynam rozpylanie swojego płynu z dyszy pojemnika, pod ciśnieniem 4 bar, od wejścia na łącznik w 3 klatce, potem korytarz, środkowe wejście i moja winda, którą bloкуюję na górze. Dopiero wtedy ruszam w dół. To wszystko zajmuje mi już maksymalnie pół godziny. Po zejściu do piwnicy ściągam kombinezon. Chłopaki najczęściej są już po kąpeli. Pan Kazik zainstalował w piwnicy dwie kabiny, kiedy trzy lata temu wpadłem na pomysł z sauną. W efekcie nam nie wypalił, bo nie dostaliśmy zgody straży, ale sanitariaty, prysznice i inne, wyremontowane w ramach projektu „Zróbmy to sami”, pomieszczenia pozostały. Bezdomny Włodek, który ma w nich swoje lokum i sam dba o ich dezynfekcję, zabiera wszystkie kombinezony do windy obok śmietnika, w której, z uwagi na duże stężenie bimbrowego płynu, który na nich osiadł, poddawane są wietrzeniu. Dopiero wtedy kładzie się spać. Ja czekam jeszcze, aż Michał z Kubą wjadą windą w trzeciej klatce - Michał musi uważać na mokrej podłodze, pokonując górną niewielki odcinek między sąsiadującymi z sobą klatkami. Kiedy ich winda wróci już na dół, rozpylam w niej płyn, zamykam i bloкуюję. Wracam do piwnicy, gdzie rozbieram się do naga, dorzucam moje ciuchy treningowe do pralkosuszarki, nastawiam odpowiedni program - pojemnik z octem zmieszany z jakimś specyfikiem od Joli już jest w bębnie - i dopiero wtedy kieruję się pod prysznic. Zakładam bieliznę termiczną z mojego worka i wracam do mieszkania, gdzie zabieram się do moich kolejnych zadań.

Aktywność ruchowa jest bardzo ważna. Dla zdrowia fizycznego i psychicznego każdego człowieka. Najlepsza jest ta, która zaspokaja potrzeby i zainteresowania. Dla naszej trójki to bieganie, dzięki któremu lepiej potem funkcjonujemy i myślimy, co w obecnej, mocno stresującej, sytuacji jest bardzo ważne. Pozwala choćby dostrzec zagrożenia, przy których wrasta ryzyko dla wszystkich mieszkańców.

Dobrze, że zareagowałem błyskawicznie na te nowe zalecenia Ministra od zdrowia. Zapowiada się od jutra bardzo duży ruch. - Myślałem w niedzielę wieczorem, kiedy już wrzuciłem na stronę mój własny, uzupełniony grafik. Ten ze środy był taki:

„Zakaz opuszczania mieszkań z uwagi na dezynfekcję wind i ciągów komunikacyjnych w godzinach: 23.00 - 5.00.

Przygotowanie do dezynfekcji od 21:30. Przepraszam za hałas.

W godz. 21.30 - 23.00 podczas wyprowadzania psów można korzystać jedynie z wind.

Windy niedostępne w godz.23:00 - 06:00.

Dezynfekcja poręczy: 9:00 - 9:45.”

Część najważniejszą o nocnej dezynfekcji pozostawiłem, ale dalej uzupełniłem tak:

„Windy niedostępne w godz.23:00 -06:00 oraz 13:00 - 13.45.

Dezynfekcja poręczy: 9:00 - 9:45 oraz 13:00-14:30.

Jonizacja łącznika 14:00 - 21:00.

Jonizacja piwnic 16:00 - 20:00.”

Okolo wpół do drugiej zakończyłem robotę przy laptopie - w międzyczasie zjadłem kolejny posiłek i wypilem kawę. Założyłem uniform, okulary, rękawice ochronne i wyszedłem na zewnątrz.

Pan Włodek zamiótł teren dookoła wieżowca już przed 21.00. Moja wrześniowa inwestycja w nowoczesną zamiatarkę spalinową bardzo ułatwia mu teraz robotę. Umyłem i zdezynfekowałem gorącą parą ławki, drzwi i przedsionki wejściowe do każdej z klatek. Uzupełniłem płyn do dezynfekcji rąk w dozownikach przy wejściu. Umyłem szufelki na psie kupy, które czekały na mnie w pojemniku i wlałem do niego świeżą wodę. Tuż po trzeciej otworzyłem i zablokowałem drzwi windy w trzeciej klatce. Podczas wspinaczki skręciłem wszystkie kaloryfery i otworzyłem wszystkie okna. Otworzyłem na górze obie windy, by się już wietrzyły, zanim rozpocząłem wędrówkę w dół środkową klatką, powtarzając swoje czynności. To samo zrobiłem podczas ostatniej wspinaczki. Odblokowałem obie windy, by zjechały na dół - w moją wsiadłem. Otworzyłem je na dole szeroko. Zostało mi już tylko umyć chodników przed frontem wieżowca. Do tego mam profesjonalną, wysokociśnieniową myjkę ciepłowodną z cichym silnikiem - teraz wlewam do niej mieszaninę wody i octu. Skończyłem pracę po piątej. Wziąłem prysznic w mieszkaniu, przebrałem się w zwykłą bieliznę i dresy. Termiczną i uniform wyniosłem w worku pod

wiatę - pan Włodek wrzuci moje i swoje ciuchy gospodarza z poprzedniego dnia do pralkosuszarki, byśmy wykorzystali je za dwa dni.

Trzy razy w tygodniu - w poniedziałki, środy i piątki - kiedy wracam z Wezyrem z jego porannej toalety odbieram dostawę z piekarni. Zamówienia na pieczywo zbiera pani Zosia Zwolińska. Wysyła mi zestawienie dzień wcześniej w Excelu. To na nabiał od razu daje mężowi. Pieczywo przyjeżdża przed wieżowiec najczęściej w czterech kontenerach. Wstawiam je zawsze do przedsiionka mojej klatki schodowej, obok kontenerów z nabiałem, które wstawia Tadeusz Zwoliński. Zawożę Wezyra na jego piętro. Pan Alojzy otwiera mu drzwi, a ja jadę dalej. Wjeżdżam na samą górę. Uruchamiam mały jonizator w pralni, wystawiam ten z suszarni pod ścianę na środku łącznika i programuje tak, by zaczął pracę o 14:00. Zabieram odkurzacze, wstawiam je do mojej windy, którą zjeżdżają na dół - zabiera je do piwnicy pan Włodek - a ja schodzę środkową klatką i zamykam okna. Po drodze zabieram psy od Marciniakowej. Okna w mojej klatce zamyka pan Artur z dziesiątego piętra, który wychodzi o 5:30 do pracy - jest motorniczym. W trzeciej zamyka je Marcin - syn kosmetyczki Basi - kiedy około wpół do siódmej, wyprowadza swojego ośmiomiesięcznego labradora do parku. Nasz maturzysta nie zmienił swoich nawyków podczas przerwy w chodzeniu do szkoły. To on też, po odstawieniu Nemo do mieszkania, zajmuje się rozdziałem pieczywa i nabiału - sprawdza wszystko w odpowiedniej aplikacji w telefonie. Pomaga mu Zuzia - córka państwa Zwolińskich. Pakują wszystko w odpowiednie bawełniane worki z numerami mieszkań, które czekają już w trzech większych kontenerach na kółkach. Wystawia je o siódmej pan Włodek. Marcin roznosi potem pieczywo w swojej klatce, Zuzia w środkowej, a Marcel - szesnastoletni syn Agaty i Kuby - w mojej.

Mieszkam w trzypokojowym, własnościowym mieszkaniu w wieżowcu na jednym z osiedli w dużym mieście, w centrum Polski. Od czterech lat wspólnota mieszkaniowa zatrudnia mnie jako gospodarza domu. Zawarłem z nią umowę w ramach mojej działalności gospodarczej. Z otrzymanego dofinansowania na rozruch nowego biznesu zakupiłem profesjonalny sprzęt do sprzątnia, który bardzo ułatwia mi pracę. Co roku inwestuję też w nowy. Jako gospodarz domu dbam nie tylko o porządek w budynku, ale i o komfort życia ludzi, którzy w nim mieszkają. Pracuję zawsze tyle, ile potrzeba, czasem i 14 godzin w ciągu doby. Teraz także w soboty i niedziele.

Od roku, co miesiąc, wystawiam wspólnocie rachunek na 2700 zł brutto. I im i mnie to opowiada. Praca, którą dla nich wykonuję zapewnia mi komfort psychiczny, spokój i poczucie przynależności do jakiejś rodziny.

Kiedy już zjem lekki, białkowy posiłek z babcią Majchrzak, w dniach przyjazdu śmieciarek - nie przyjeżdżają wcześniej niż po 10.00 - wystawiam jeszcze odpowiednie pojemniki na zewnątrz śmietnika i wracam do mieszkania. Czytam, czasem oglądam jakiś film i przed 11.00 zawsze zasypiam w małym pokoju od strony ogródków, z opuszczonymi roletami zewnętrznymi. Budzę się około 16.00. Odświeżam się, gołę, jem obiad, który czeka na mnie w lodówce w piwnicy. O 17.30 jestem ponownie gotów do pracy.

Kiedyś pracowałem w innych godzinach, miałem też inny zakres obowiązków. Od 1 lutego 2020, po rozmowie z panem Alojzym, przeszedłem wzorem naszego Parlamentu na tryb pracy nocnej. Było to możliwe wyłącznie dzięki temu, że w październiku ubiegłego roku zaproponowałem Radzie Mieszkańców, by bezdomny Włodek, którego poznałem dzięki babci Majchrzak rok wcześniej, nie wracał tej zimy do schroniska, tylko zamieszkał w naszej piwnicy. W zamian pan Włodek pomaga mi w utrzymaniu porządku. Najbardziej lubi pracę na powietrzu, zatem dba głównie o teren wokół wieżowca. Ale teraz, w dobie pandemii, to on dezynfekuje dodatkowo windy i poręczce w ciągu dnia. Pilnuje również przestrzegania procedur związanych z powrotem do wieżowca, pracujących gdzieś na mieście, mieszkańców. Wiemy, kto i kiedy wraca, bo to ważny element naszych działań profilaktycznych. Tych realizowanych przez Radę Bezpieczeństwa Mieszkańców, powołaną do życia 8 lutego 2020 roku w naszym wieżowcu.

Rada Bezpieczeństwa Mieszkańców



- Co pan o tym myśli, panie Alojzy?

- Suweren wybrał mądrzących się przed szkodą - odpowiedział Tomkowi Orfańskiemu, doskonałemu gospodarzowi naszego wieżowca. - Jeśli to choroba X, to przy takim podejściu będzie w kraju duży problem. Oni nie przygotowują nic, a tym bardziej nas obywateli, tak jak trzeba. Sam słyszysz, że mają nadzieję, że wirus do nas nie dotrze, bo Chiny przecież daleko, a SARS już kiedyś nas ominął.

Była środa, 29 stycznia 2020 roku. Skończyliśmy już naszą wieczorną partyjkę szachów i oglądaliśmy jakiś program, w którym główny inspektor sanitarny zapewniał, że Polska jest bezpieczna. Że patrzą spokojnie na wyraźną progresję rozprzestrzeniania się wirusa. Że nasze oddziały pulmonologiczne i intensywnej terapii są przygotowane na przyjmowanie pacjentów. Że zrobili już bardzo dużo, wyprzedzając nawet innych. Tak jak zwykle gada nasz złoto -, a nawet krzywousty Premier.

- Myśli pan, że to już ta choroba?

- Nie mam pojęcia - westchnąłem.- Ale od hiszpanki minęło już stulecie. Może czas na kolejną groźną pandemię?

- Była przecież ta grypy w 2009 - wtrącił mi.

- Było tego w minionym stuleciu znacznie więcej. Mało kto już pamięta choćby grypę azjatycką z końca lat pięćdziesiątych. Ale widzisz, Tomku...(mówię do niego po imieniu, choć on sobie na to nie pozwala w stosunku do mnie) obecne pandemiczne wywołują choroby zakaźne, które się jedynie szybko rozprzestrzeniają po świecie.

- Sprzyja im globalizacja i transport lotniczy - wpadł mi ponownie w słowa.

- No właśnie - przyznałem.- Ale ich śmiertelność była dotąd w sumie nieduża. Oczywiście w globalnym ujęciu, nawet jeśli ta azjatycka i jej późniejsza mutacja zaszalały bardziej. Hiszpanka była jednak zupełnie inna. Ta cholera zebrała większe żniwo niż pierwsza wojna światowa. Nie wiem nawet czy nie ta druga. Może dlatego, że zaatakowała ludzi osłabionych właśnie wojną, a może dlatego, że postępem uśpiła ich czujność.

- Jak to postępem? - zaciekawił się.

- Hiszpanka nadchodziła falami - wyjaśniałem.- Pierwsza rozpoczęła się w Stanach w 1918 roku. Chyba już w styczniu, choć dała o sobie znać dopiero w marcu. Była bardzo zakaźna, ale zarazem miała łagodny przebieg. Większość, którzy zachorowali i zmarli to byli ludzie starsi, dlatego mówię, że uśpiła czujność. Oczyszczyła przedpole dla drugiej. Ta napłynęła w sierpniu. Od razu na trzy kontynenty. Zakaźna i bardzo śmiertelna. Dziesiątkowała ludzi z olbrzymią siłą, głównie młodych

i takich w średnim wieku, aż w końcu ucichła. A potem, w 1919, przysłała jeszcze jedna, znacznie mniej śmiertelna fala, ale i tak zabrała jeszcze całkiem sporo istnień. Najwięcej tych najmłodszych. Hiszpanka, Tomku, była prawdziwą zarazą. Gorszą nawet niż dżuma w XIV wieku. Medycyna wyszła już przecież z epoki ciemności, a ta cholera zabiła więcej ludzi w te dwa lata, niż czarna zaraza w piętnaście. Co przyniesie z sobą choroba X? Nie mam pojęcia. Tak jak nie wiem, czy to już ona daje teraz znać o sobie, ale jeśli tak, to powinniśmy dobrze się przygotować, a nie liczyć na to, że Chiny są daleko. Sama opieka Matki Boskiej - spojrziałem na ikonę na ścianie - to zdecydowanie za mało.

- Mnie bardziej martwi opieka i troska naszego zbawiciela - mruknął Tomek.

- Może to prawda, że jak Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbiera - skomentowałem.

- Czyje to?- zaciekał się.

- Dostojewskiego - odpowiedziałem.

W ciszy delektowaliśmy się moją ulubioną, białą herbatę z dodatkiem soku malinowego od Tereski Majchrzak.

- Z tego co do tej pory zrozumiałem - rozpoczął po dłuższej chwili milczenia Tomek - ze stron i telewizji anglojęzycznych, to ten koronawirus prowadzi do zwłóknień w płucach i jest najbardziej niebezpieczny dla ludzi starszych z różnymi chorobami, głównie układu oddechowego i krążenia.

- Owszem. Ale ci, których układ odpornościowy jest już osłabiony, choćby chemią, też będą mieć duży problem - dodałem.

- Czyli to w sumie... ponad 50 procent mieszkańców naszego wieżowca - ocenił. - Chociaż złapać dziada może każdy z nas, a potem jedynie lekko przechorować, bez konieczności hospitalizacji? - upewniał się.

- Nawet przejść to bezobjawowo - wyjaśniłem. - Zakażać przy tym nieświadomie innych, bo wygląda na to, że „dziad” posiada wyjątkowo silne umiejętności w wędrówce po ludziach.

- Ze strony tajwańskiego ministerstwa zdrowia wynika - kontynuował Tomek - że ważne jest przestrzeganie higieny i wypracowanych procedur. Mówią, że ludzie muszą się zdyscyplinować, ale trzeba im dostarczać przejrzystych informacji i odpowiedniej wiedzy medycznej, bo tylko to może zapobiec panice.

- Tajwan dobrze odrobił swoją lekcję po epidemii SARS - uśmiechnąłem się. - Powinniśmy brać z nich przykład, ale nie wiem czy w Polsce to możliwe. I nawet nie chodzi o to, kto teraz sprawuje władzę. Prawdziwa reforma służby zdrowia nigdy u nas nie nastąpiła. A gdyby nie dyrygent naszej wielkiej orkiestry to nawet nie

byłoby w tak wielu szpitalach dobrego i nowoczesnego sprzętu. Tyle, że jak ten „dziad w koronie” do nas dotrze, a to już tylko kwestia czasu, może okazać się, że mamy wyposażone oddziały, ale nie będzie na nich ludzi do opieki nad chorymi. Oby tylko zamówili odpowiednią ilość środków ochrony osobistej dla służb medycznych i to nie tylko tych w szpitalach. Oby nie okazało się potem, że największymi ogniskami zakażeń są właśnie placówki służby zdrowia. Oby...

- Panie Alojzy - drążył dalej mój rozmówca - czy możemy zrobić coś sami? Jak możemy się przygotować?

- W przypadku każdej choroby zakaźnej kluczowe jest oddzielanie chorych od zdrowych. Po to istnieją szpitale lub choćby oddziały zakaźne. Tam ludzie znają procedury i ściśle się ich trzymają, bo inaczej mogą nie tylko sami coś złapać, ale i przynieść to swoim domownikom. Kiedy pracowałem jako patolog naturalne było nie tylko to, że się dokładnie kąpałem się przed założeniem cywilnych ubrań. Przed wyjściem z zakładu dezynfekowałem nawet moją Nokię, której dorobiłem się w ostatnich latach pracy. Wypracowałem w sobie nawyki higieniczne i cieszy mnie bardzo, że i ty korzystasz z moich podpowiedzi.

- Dobre nawyki sprzyjają zdrowiu.- Uśmiechnął się do mnie - Ale przecież nie wystarczy jedynie oddzielić chorych od zdrowych, jeśli nosicielami również ci bez objawów choroby. Trzeba by wyłapać i odizolować zakażonych. Mamy przebadać każdego? 38 milionów ludzi?

- I to nie raz, Tomku, nie raz. Sama służba zdrowia powinna być badana systematycznie po kątem możliwości zakażenia. Ale to już odpowiedzialność rządu, który musi sprowadzić testy i Sanepidu, który uruchomi odpowiednie laboratoria i procedury. Ale chyba trochę zboczyliśmy z drogi. Pytasz mnie przecież o to, co możemy zrobić sami?

- No właśnie.

Namyślałem się przez dłuższą chwilę.

- Walka z epidemią to specyficzna wojna - rozpocząłem. - Nie powinno się w niej myśleć jedynie o wyeliminowaniu przeciwników, bo jak ich nie widzisz, a oni są szybcy i do tego się mnożą i tak zaczynasz z pozycji przegranego. Ta wojna powinna być ukierunkowana bardziej na spowolnienie i powstrzymywanie wroga, no i oczywiście ograniczanie skutków jego ataków i to na bardzo różnych frontach. Także gospodarczych i społecznych. Trzeba mu stawić opór tam, gdzie może narobić największej szkody, z nadzieją, że naukowcy znajdą w końcu odpowiedni oręż. Bo to, że znajdują jest pewne. Pytanie tylko, kiedy? Dlatego na gruncie lokalnym pomyślałbym o stworzeniu warunków utrudniających temu całemu „koronie” do-

stęp do ludzi w naszym domu, a w przypadku gdy to się nie uda, zapewnieniu tym, którzy nie wymagają hospitalizacji, dobrych warunków do chorowania u siebie. Do szpitali powinni trafiać najbardziej potrzebujący.

- Dostawa żywności, ciepłych posiłków, leków, dostęp do podstawowej opieki medycznej... - wyliczał od razu. - Z tym sobie damy radę. To się da zorganizować. Warto by też bardziej zadbać o higienę w ciągach komunikacyjnych.

- O to dbasz doskonale - zapewniłem. - Nawet w naszych mieszkaniach.

- Wiem, ale może być lepiej, choćby poprawiając i tu jakość powietrza. Mamy przecież w świetlicy mały jonizator. Rozejrzę się za większym.

- Tylko nie kupuj nic sam. Zebraliśmy na koncie sporo środków ze sprzedaży kartek i świątecznych ozdób. Nasze dzieciaki też przekazują odpowiednie darowizny.

- O finansach pogadamy, jak już zdiagnozujemy potrzeby - zdecydował Tomek. - Może znowu wygramy konkurs. Projekt na ten rok jest bardzo ciekawy i ma dobrze skonstruowany budżet. Wysłałem już wczoraj. Chociaż jeśli ten „korona” do nas dotrze... - Spojrzał na mnie pytająco.

- Dobrze główkujesz - potwierdziłem. - Na konkursy w tym roku bym nie liczył.

- Ile, według pana, mamy czasu na przygotowanie?

- Szybko podróżuje. Jest już w Stanach, Kanadzie, Bawarii, Francji - wymieniałem. - Maksymalnie... dwa miesiące, chociaż nie byłbym pewien, czy i u nas już go nie ma.

- Myśli pan, że mogliby to zataić, panie Alojzy?

- Są zdolni do wszystkiego, ale akurat to byłoby już skrajną głupotą. A o to nie podejrzewam Ministra od zdrowia, nawet jeśli za nim nie przepadam. Nie, Tomku! „Dziada” trzeba przyłapać na gorącym uczynku, a to akurat bardzo utrudnia sezon na grypę. Stąd te moje domysły. I jak to sobie tak analizuję, to jednak dobrze, że sporo naszych dzieciaków i dziadków się szczepi.

- Włodka też zaszczepiłem. Jesienią. Wrzuciłem to w koszty jego umowy, tak jak i ubezpieczenie zdrowotne.

- Bardzo dobrze - pochwaliłem go - A co teraz? Jakoś nie pamiętam, byśmy przedłużali mu wolontariat.

- Zatrudniłem go sam, w połowie miesiąca - wyjaśnił. - Zgłosiłem go do ubezpieczenia. Odprowadzam za niego składkę zdrowotną i podatek.

- Dużo mu płacisz?

- Niewiele. To umowa zlecenie. Ale nawet i do tego musiałem go przekonać. Mówi, że wystarczy mu dach nad głową, jedzenie, ubranie i to, co dostał od was za umycie okien na święta.

- Wiesz może, czy Kasia też go zatrudniła? - zainteresowałem się.

- Nie. Zatrudniła mnie. I to do kompleksowego sprzątanía. Zawsze kogoś bierze przed świętami. Choć przyznam, że trochę mnie zaskoczyła, kiedy zwróciła się z tym do mnie.

- Widocznie masz duży dar przekonywania, skoro jej mąż się na to zgodził.

- Raczej mają go moje urządzenia, zwłaszcza te dla alergików. Seniorom posprzątałiśmy z Włodkiem w ramach wolontariatu. Olce też. Reszta mogła zrobić to sama, ale Kasia nie lubi sprzątać. Początkowo nie miałem ochoty, ale pomyślałem sobie, że akurat kieszenie jej męża warto nieco odciążyć. - Puścił do mnie oko.

Roześmialiśmy się obaj głośno.

- Niech pan zwoła zebranie klubu, panie Alojzy - zaproponował - Nie takie wazsze spotkanie towarzyskie, tylko zebranie w trybie statutowym. I to jak najszybciej.

- Nie chce mi się teraz uruchamiać komputera. Napiszę treść rano. Jak wyślę maile jutro, to możemy je zrobić już za tydzień, w niedzielę.

- Czemu nie w sobotę, tak jak zawsze?

- Dobrze - zdecydowałem.- Napiszę i puszcze jeszcze dzisiaj.

- Zróbmy to od razu. Pomogę panu.- Wyciągnął swój telefon.- O której godzinie? - Spojrzał na mnie wyczekująco.

- O piętnastej - odpowiedziałem po chwili.

Coś pomajstrował przy smartfonie i po chwili głośno mówił:

- Klub Seniora „Sąsiedzka rodzina” zwołuje w sobotę 8 lutego 2020 roku o godzinie 15:00, zebranie członków stowarzyszenia. Miejsce - świetlica w pralni. Cel zebrania ... - przerwał i pewnym ruchem podsunął mi telefon, zatem dokończyłem: - ...wypracowanie strategii walki wspólnoty z chińskim wirusem. Obecność obowiązkowa. Alojzy Kozłowski.

- Nie dziwi cię, że walę to tak prosto z mostu? - zapytałem po chwili, kiedy nadal zajmował się telefonem.

- Ani trochę - przyznał, nie podnosząc wzroku. - Tereska kazała mi już przedwczoraj rozejrzeć się za jakimiś używanymi zamrażarkami sklepowymi - wyjaśnił.

- To widok tego pustego, niemal pozbawionego życia miasta - potwierdziłem jego przypuszczenia. Zakomunikowała nam w parku, że nie zamierza przechodzić na konserwy, jak jej przyjdzie siedzieć w domu. Mnie to bardzo odpowiada. Dorzucę się do zakupu. A innym dała już tym do myślenia.

- Pewno dlatego pani Danusia zagadnęła mnie dzisiaj, czy nie miałbym nic przeciwko, gdyby przywiozła kilka niosek od siostry? Mogłyby sobie chodzić po trawce w ogródku Millerów.

- Co jej odpowiedziałeś? - zaciekałem się.

Podniósł na mnie wzrok.

- Żeby sama spytała pana Kazia, co on na to, bym tę jego komórkę pod balkonem przerobił na przytulny kurniczek.

- Dobrze chociaż, że nie marudziła ci już nic o śwince i parce kózek, jak mnie wczoraj - wyznałem.

- Zamilkłaby na sam widok mojego spojrzenia - skwitował krótko z rozbawieniem widocznym w oczach.

- Sam widzisz, Tomku, że potrzebujemy tego co zwykle. Koordynatora i organizatora. Pomysły są, nawet jeśli wynikające na razie bardziej z obawy widma pustych półek, niż tego wirusa. Ale najważniejsza jest chęć do działania. My, starzy ludzie, nie zamierzamy jedynie czekać.

- Wiem - oznajmił. - Dlatego musicie mi przedstawić nie tyle swoje pomysły, co potrzeby, a nawet obawy. Sam już pogadam sobie z Olką, Krzyśkiem i Michałem. Przeanalizujemy wszystko, co nie wymaga przeprowadzenia rewolucji i jest w zasięgu naszych realnych możliwości. Niech pan wpisze hasło do swojej poczty. - Podał mi telefon. - Już wysłałem na nią wiadomość.

- Pomyślałbym jeszcze o aspekcie psychologicznym - dodałem po tym, jak już wysłaliśmy ją dalej do wszystkich członków klubu.

Spojrzał na mnie pytająco.

- Kiedy zmarła moja Marysia - wyjaśniałem - najbardziej dokuczala mi pustka, którą pozostawiła w domu. Na szczęście miałem Wezyra i sąsiadów, którzy szybko ją wypełnili.

- Nic dziwnego. Dbał pan zawsze o dobre sąsiedzkie relacje. Tereska nie raz mi o tym mówi. Wszyscy pana tutaj lubią.

- Zatem na moim pogrzebie zapowiada się trochę ludzi - uśmiechnąłem się lekko. - To bardzo dobrze.

- Źle się pan czuje? - zaniepokoił się.

- Czuję się wyśmienicie - uspokoiłem go. - Nie wybieram się jeszcze na tamten świat. Myślę tylko, że w wielu przypadkach to psychika zdecyduje o tym, jak szybko dostosujemy się do zupełnie nowej sytuacji. Czy organizmowi będzie się chciało stawić czoła przeciwnikowi. Ja nie mam z tym problemu. Mam nawet w planach to

świadczenia honorowe dla 100-latków, choć nie wiem, co na to ZUS... - Puściłem do niego oko.

- Jak do tego czasu padnie, sam je panu wypłacę - obiecał już z uśmiechem.

- Każda żaloba ma swoje granice, Tomku - kontynuowałem.- Samotność też. A strach, choć ma tylko wielkie oczy, łatwiej opanować w towarzystwie. Bo wtedy nawet czas leci szybciej. A zanosi się na kwarantannę.

- Będę miał to na uwadze. Zrobimy wszystko, co się da. Zgodnie z możliwościami. Zapoznamy dobrze mieszkańców domu z sytuacją, zaczynając od seniorów. To już pana robota, panie Alojzy.

- Postaram się to zrobić jak najlepiej. Tak jak wyjaśniłem problem tobie, choć już sam nie wiem, czy tego potrzebowałaś.

- Bardzo - zapewnił.- Bardzo mi pan pomógł w zrozumieniu, dlaczego Tajwan od początku tak ograniczył swobody obywatelskie. Będzie mi łatwiej jeśli i u nas o tym zadecydują. Myślę też teraz, że o prawdziwej wygranej w tej wojnie nie zdecyduje to, ilu z nas „korona” ominie, czy nie zarazi. Nawet nie to, ilu z zakażonych pozbawi życia. Bo tak będzie, ale przecież ludzie i tak codziennie na coś umierają. O wygranej zdecyduje to, co pozostawi w naszej psychice, w naszej istocie społecznej. Gospodarczo świat mocno dostanie pod dupie, tyle że każdą gospodarkę można odbudować. Ma pan może ochotę na jeszcze jedną partyjkę? - Wskazał wzrokiem na szachownicę.

- O czym przy niej porozmawiamy?

- Może o tym jak najlepiej przestawić swój zegar biologiczny na tryb nocny. To przez to pana wspomnienie o kwarantannie.

Z olbrzymią ciekawością zacząłem rozstawić swoje figury.

Sobota, 8 lutego.

Na zebraniu w świetlicy odliczyli się prawie wszyscy członkowie klubu. Nie było jedynie Danusi Marciniakowej, która spędzała weekend u siostry na wsi. Był za to z nami nasz gospodarz i informatyk Michał, którego poprosiłem wczoraj o pomoc w przygotowaniu prezentacji. Teraz obsługiwał laptop.

Zapoznałem już wszystkich z sytuacją i zakończyłem moje wystąpienie tak:

- Trzeba się przygotować do konfrontacji z koronawirusem we własnym zakresie, co i tak nam już chodzi po głowach. Nie ma co liczyć wyłącznie na nasze władze. Uważam, też musimy oprzeć się na specjalistach. Dlatego proponuję, by nasz gospodarz, pan Tomasz, zajął się współpracą z zaproponowanymi przez siebie i nasze grono osobami.

- Po rozmowie w środę z panem Alojzym - zabrał od razu głos nasz prezes, Tadeusz Witkowski - przeanalizowałem pewne aspekty prawne. Proponuję zatem byśmy utworzyli Radę Bezpieczeństwa Mieszkańców, która przygotuje różne propozycje, służące zapewnieniu bezpieczeństwa zdrowotnego całej naszej wspólnoty. Zrobimy to jak należy, moi drodzy - przerwał po chwili nasz entuzjastyczny zgiełk, który wypełnił pomieszczenie.- Włączę dyktafon, bo trzeba będzie zrobić potem protokół. Panie Kazimierzu, proszę o pomoc w liczeniu głosów. Tak jak pan to zawsze robi.

- To ilu nas jest? - zapytał hydraulik Kazik Miller.

- 42 osoby - przypomniał mu. - Kto jest za utworzeniem Rady Bezpieczeństwa Mieszkańców? - zwrócił się do nas prezes i podniósł rękę. - Kto jest przeciw? Kto się wstrzymał?

Wszyscy byliśmy za.

- Panie Tomaszu, proszę nam powiedzieć, kogo widziałby pan w tej radzie? - zwrócił się do Tomka.

- Przede wszystkim panią doktor Aleksandrę Szulc, która zgłosiła już z mężem pewną propozycję. Jest nią utworzenie punktu medycznego w naszej świetlicy. Tu są najlepsze warunki. Jakby trzeba było siedzieć w domach bardzo się nam przyda.

Kiedy już ucichły okrzyki i słowa aprobaty Tomek kontynuował:

- Ola nie dysponuje dużą ilością czasu, by się tym teraz zająć, dlatego formalnie zgłaszam własną osobę oraz proponuję, by to pani Krystyna Kwiatkowska zajęła się pomocą w jego utworzeniu.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała mu nasza koleżanka - Chętnie pomogę.

- W takim razie ustalcie wspólnie, co jest w nim potrzebne - zaproponował nasz prezes.- Ile mamy na koncie ? - zwrócił się do Zosi Zwolińskiej, która prowadziła nam księgowość. Tak jak i księgowość swojego męża.

- Ponad dwanaście tysięcy - odpowiedziała.- W tym osiem i pół potrzebne do projektu.

- Skoro pan Alojzy podejrzewa, że może nie być konkursów, to wszystko, co zaplanowaliśmy jako wkład własny proponuję przeznaczyć od razu na to, co będzie najbardziej potrzebne. Kto jest za? - zapytał.

Byliśmy wszyscy.

- Kierując się tym - kontynuował Tomek - jak zapobiega się rozprzestrzenianiu wirusa w Azji, uważam, że ważne będzie zapewnienie nam dobrej komunikacji, co zapewni nam pan Michał Kałuża - wskazał na informatyka - z którym już to przedyskutowaliśmy. Musimy też zadbać o dostawę i dystrybucję żywności. A z tym

świetnie sobie poradzi pani Zosia Zwolińska we współpracy z Marcinem Weberem. Z nim też już rozmawiałem. Ma na karku maturę, ale obiecał, że jakoś to sobie ogarnie.

- Możecie na mnie liczyć - zapewniła Zosia. -Przygotuję sobie odpowiednie tabelki. Zuzia na pewno też się przyłączy.

Tomek nie zgłosił więcej osób. Zaproponował jednak, byśmy przekazali mu swoje potrzeby. Poprosił też żebyśmy zastanowili się, czy w razie ogłoszenia kwarentanny bierzemy pod uwagę możliwość przeprowadzki do kogoś, jeśli mieszkamy sami. Tak jak i gotowanie wspólnych posiłków.

Skończyliśmy nasze zebranie koło 18:00. Umówiliśmy się na kolejne za tydzień, ale już w niedzielę o 15:00. W sobotę, najstarsi z nas mieli zupełnie inne plany.

Sobota 15 lutego.

Zebraliśmy się o szesnastej, bo Gienia Wiśniewska, mama Zosi Miller, stawiała ciasto imieninowe. W czerwcu będzie kończyła dziewięćdziesiąt lat. Przyjechała na swoim wózku. Jej ciało może już mało, ale umysł i dowcip nadal działa. Zaśpiewaliśmy jej „sto lat”, daliśmy prezent - kolorowy pled i anturium w doniczce - wypiliśmy kieliszeczek dereniówki za jej zdrowie i oddaliśmy rozmowom. Tomek przysłuchiwał się im, pijąc z nami kawę i jedząc ciasto, na które też go zaprosiła solenizantka, tak jak i pana Włodka.

- W północnych Włoszech jest coraz więcej zakażeń, a ten nasz Minister od zdrowia nadal nic - zagaiła nagle osiemdziesięciolatka Lucyna Kaczmarek. - Jak tak można?

- Pewno modli się o cud, jak i cała reszta - skwitowała Hela Zawadzka.

- Panie Alojzy, może jeszcze herbaty? - zapytała Zosia.

- Poproszę - podałem jej swój kubek. - Wiecie, że zatęskniłem nagle za Anto-nim - zwróciłem się do osób przy stole.

- Mariusz znowu coś odwalił?- zaciekawiał się Kazik Miller.

- W końcu stycznia zwolnił szefów wojskowego laboratorium w Puławach. Wiem od mojego dawnego studenta. Zamiast doświadczonych mikrobiologów kieruje nim chemik.

- Kurwa mać! - nie wytrzymał Kazik.

- Kaziu! - upomniała go żona.

- Przepraszam, kochanie. Trochę mnie poniosło, Mieliśmy ministra od wojny, a teraz mamy od klęski - skwitował.- Może ktoś ma jeszcze ochotę? - Pokazał butelkę z nalewką. -Ja sobie golnę.

Parę osób miało.

- Antoni był przecież od spisku, a dopiero potem od wojny - przypomniałem wszystkim.

- Ach, Antoni, Antoni... - westchnął zabawnie Staszek Zawadzki. - Ten to dopiero miał fantazję. Przynajmniej można było się pośmiać. A przy tym, nie ma z czego.

- Jak Mariusz wyśle wojsko na tego całego wirusa będzie i od wojny - dodała Genia.

- Antoni to by wypuścił nawet czołgi - mruknął Kazik.

- I eskadry samolotów - dodał rozmarzony Staszek - Już widzę ten kadzidlany dym rozpylany nad nami. Pobłogosławiony najpierw przez tego obłudnika z Torunia.

- Nie bluźnij Stasiu, nie bluźnij - upomniała go Tereska.- Ten czort to akurat najgorsza zaraza.

- Staszek ma rację - skomentowałem. - Toruński czort wykorzystałby sytuację. Słono by sobie policzył za to błogosławieństwo.

- Co to się porobiło z tym naszym Kościołem - westchnęła Hela.- Żeby tak podzielić ludzi, nawet tych wierzących. Dobrze chociaż, że nasz proboszcz jest normalny i ludzki. Tak jak i nasz arcybiskup.

Zrobiło się trochę markotnie.

- Nie wiadomo, co komu najbliższy los przyniesie - powiedziałem w końcu - ale nie ma co się zamartwiać na zapas, dlatego proponuję byśmy wysłali Marciniakową do toruńskiej świątyni, jakby się jednak zaraziła.

- Dobry pomysł - pierwsza uśmiechnęła się Terenia.- Napluje na tego czorta.

- Pani Danusia na niego pluje? - zainteresował się Tomek.

- I to jak - potwierdziłem.- Jak tylko go gdzieś zobaczy. Mnie, jakby co, zawieźcie na Nowogrodzką.

- Mnie też... I mnie...

- Nie dałoby jakoś rady załatwić tych testów? - wypalił nagle, milczący dotąd, osiemdziesięcioletni Franciszek Niewiadomski, sąsiad Millerów.

- No właśnie - zawtórowała mu Lucyna Kaczmarek. - Jakbym wiedziała, że nie musimy liczyć wyłącznie na Sanepid, od razu bym się lepiej poczuła.

Zastanawiałem się, jak przerwać szybko narastającą wrzawę, ale ubiegł mnie Tomek.

- Panie Alojzy! - zawołał, zwracając na siebie uwagę nas wszystkich. Całe towarzystwo ucichło.- Czy mógłby się pan dowiedzieć, czy każdy z tych zwolnionych w Puławach mikrobiologów ma już robotę?

- Jasne - odpowiedziałem bez namysłu, zaintrygowany co takiego wymyślił. Byłem pewien, że niektórym mocno pójdzie w piętę. Tomek ma duże poczucie humoru, ale nie stroni też od sarkazmu.

- Jakby któryś nie miał - grzmiał nas gospodarz głośno, ze śmiertelną powagą - to my go zatrudnimy. Sam już sprawdzę, nawet dzisiaj, jakie parametry musi spełnić laboratorium, które od jutra zaczniemy urządzać w mieszkaniu pana Niewiadomskiego.

- Jak to w moim? Tak przecież nie można - zaprotestował słabo Franciszek. - Nie ma mowy.

Tomek wstał. Podeszedł do niego i powiedział:

- W moim nie mogę, panie Franciszku. - Poklepał go przyjaźnie po ramieniu. - Pani Majchrzak prędeż mi nogi z tyłka powyrywa. Pozwolicie, że już was opuszczę. Mam jeszcze sporo do zrobienia.

Tomek wyszedł, a w świetlicy nadal panowała cisza.

- Żartował, prawda? - upewniał się Franciszek. - Tylko to przyszło mi do głowy - tłumaczył teraz strapiony. - Wiecie przecież, jaki jestem.

- Nie przejmuj się, Franiu - odezwała się Tereska. - Z pewnością ktoś cię do siebie przygarnie. Może nawet Lucyna.

- Nie ma mowy! - zaprotestował tym razem gwałtownie. - Tylko nie ona. Lucyna zagada mnie na śmierć.

W tym momencie wszyscy zaczęliśmy się śmiać, nawet Kaczmarkowa, o której tak powiedział.

Niedziela, 16 lutego.

- Jak trzeba będzie pomóc doktor Szulc, to i dla nich ugotuję obiad - oznajmiła Tereska. - Tomek i pan Włodek mi pomogą.

- Jak zamkną szkoły, to Ola i tak pójdzie na zwolnienie - powiedziałem.

- Myśli pan, że zamkną? - zaniepokoiła się Zosia Zwolińska.

- Nie wykluczyłbym i tego. Dużo zależy od szybkości migrowania tego „korony” i jego śmiertelności.

- Jezus Maria! Panie Alojzy - załamała ręce Danusia Marciniakowa. - Dlaczego pan tak straszy?

- Nie straszę, pani Danusiu. Po prostu nie wiem, co wykombinują ci nasi.

Dyskutowaliśmy teraz nad optymalnym rozwiązaniem problemu wyżywienia, jeśli doszłoby do przymusowego siedzenia w domu. Nie zamierzaliśmy robić fury zapasów, tylko zainwestować w to, co lubimy jeść i co nam służy. Stanęło już na zrzuceniu się przez wszystkich członków klubu na dwie używane zamrażarki skle-

powe - Tereska przekonała nas, że mrożone warzywa o tej porze roku są najlepszym rozwiązaniem - i witrynę chłodniczą na nabiał, przywożony przez Tadeusza Zwolińskiego.

Wszystko to miało trafić do mojej komórki w piwnicy, która i tak świeciła od trzech lat pustkami. Od kiedy, jako wspólnota, zdecydowaliśmy o likwidacji włączonych zsympowych, Zawadzcy i ja trzymamy swoje przetwory w dawnym pomieszczeniu zsympowym. Tak jak i większość z nas. Tomek pięknie je nam zagospodarował. Dzięki estetycznemu śmietnikowi, który stanął na zewnątrz wieżowca, w pomieszczeniach na dole miejsce kontenerów na śmieci zajęły stojaki na rowery. A w piwnicy z wielu, niepotrzebnych już, komórek udało się wygospodarować małą salę do gimnastyki z miejscem na trzy rowery stacjonarne. Doskonałe rozwiązanie dla ludzi starszych, zwłaszcza na zimę. Możliwość ruchu i to zawsze w jakimś towarzystwie.

- Kupmy je już teraz - zaproponowała pani Małgosia Banasiak.- I tak się nam przydadzą. Możemy od razu kupić potrzebne nam i tak mrożonki i z nich korzystać. A witrynę postawmy sobie potem w świetlicy.

- Możemy w niej trzymać desery i koktajle, które robimy latem - dodała jej współlokatorka Helena Łącka.

- Doskonały pomysł - przyznałem.

- Kto jest za? - spytała Zosia Zwolińska, która wraz z Tadeuszem Witkowskim przewodniczyła naszemu spotkaniu.

Podnieśli ręce wszyscy.

- Pan Alojzy mówił, że w Azji ludzie chodzą w maseczkach. Tylko trzeba je często wymieniać. Mogłybyśmy uszyć z Iwoną bawełniane, takie do prania - zaproponowała Roma Stachowiak.- Z fizeliny też możemy. Potrzebny będzie tylko materiał.

- Proszę poszukać w Internecie sklepu i zamówić, co potrzebujecie - zdecydowała Zosia.

Dyskutowaliśmy jeszcze prawie godzinę nad tym, co najbardziej nam potrzebne. Co już mamy. Co najlepiej kupić od razu: dwa termometry na podczerwień, jak najwięcej jednorazowych maseczek i rękawiczek, pudełka na odpady medyczne, przynajmniej 10 litrów płynu do dezynfekcji i 5 litrów mydła w płynie. Za czym się rozejrzeć, tak by kupić to, jak będzie potrzeba, najlepiej na wyprzedaży. Ola Szulc obiecała, że na pewno przywiezie elektrokardiograf i holter EKG oraz parę innych urządzeń. Chcieliśmy, by miała jak najlepsze warunki w naszym punkcie medycznym.

- Czy uwzględniliśmy wystarczająco dużo, żeby pani Ola mogła się u nas urządzić? - zapytał w końcu nasz prezes.

- Parawan, używana szafa medyczna, stolik zabiegowy, kozetka lekarska, umywalka, dozowniki - wyliczała Krysia Kwiatkowska.- Do tego nasz jonizator. Wydaje mi się, że tak, ale jeszcze ją spytam. Tak jak o leki i środki opatrunkowe. Przekażę jej też, czym sami dysponujemy w domach.

- W takim razie kupimy to, jak tylko ogłoszą, że trzeba siedzieć w domach - zdecydował Tadeusz.- Nie mamy chyba powodu, by od razu inwestować w punkt medyczny, prawda? - zwrócił się do nas.

Ja tam bym go znalazł. - Pomyślałem, ale zanim zdążyłem podnieść rękę, by udzielono mi głosu, usłyszałem:

- Mogę jeździć na górę - oznajmił nagle Franciszek - żeby pani Krysia nie musiała przychodzić do mnie na zmianę opatrunków.

Witkowski spojrział na nas i spytał:

- Do kogo jeszcze przychodzi pani Krysia na zastrzyki lub opatrunki?

Podniosło się całkiem sporo rąk - moja też - a Gienia, siedząca na wózku dodała:

- Raz w tygodniu mnie wniesiecie na tych ostatnich schodach.

- Bez obaw - uśmiechnęła się do niej Krysia Kwiatkowska.- Do pani i tak przyjdę.

Tak to, dzięki Franciszkowi Niewiadowskiemu, Tomek mógł od razu działać.

- Przeniesiemy zmywarkę do piwnicy - zwrócił się do nas, wskazując wzrokiem urządzenie, z którego korzystamy od dwóch lat. - W jej miejscu zainstalujemy umywalkę na szafce.

- Zajmę się tym z panem Włodkiem w przyszłą sobotę - obiecał Kazik. - Pomierzę wszystko wcześniej, przyniosę materiał i narzędzia.

- Kupimy ją w tym tygodniu - mówił dalej Tomek - tak jak i dozowniki na mydło i środek do dezynfekcji. Jonizator z sali na dole też tu od razu wstawimy. Zaczynjcie już zmieniać swoje nawyki, a pani Krysia powoli się tu urządzać. Panie Kazimierzu, pralkosuszarkę też podłączymy w piwnicy. Można w obu urządzeniach - wyjaśniał nam - wyparzyć sporo z tego to, co moglibyśmy przynieść, wracając z pracy. Podobno ten wirus ginie już w temperaturze 60 stopni. Możemy to wykorzystać do utworzenia jednej z linii naszej zapory. Tak wykombinowaliśmy z ratownikiem Krzyśkiem i chemikiem Kubą.

Pierwszy raz



W sobotę, przed Niedzielą Palmową, pan Włodek przyszedł pod mój balkon już o jedenastej. Zabrał po drodze Duszkę, żeby sobie pobiegała po trawniku.

- Zapowiada się całkiem ładny szpinak, pani Teresko - wskazał głową na nasz mały inspekt, jak już odchylił folię - a pierwsze rzodkiewki pewnie będą już na święta.

- Dobrze byłoby zebrać wszystko do maja, żeby zasilić jeszcze ziemię pod ogórki. Ładnie mi rosną. Pomalutku je już hartuję.- Wskazałam na dwa, nieduże, plastikowe pojemniki stojące na parapecie.

- Posadzimy też w tym roku dynie i cukinie - oznajmił, zabierając się za podlewanie.

- Gdzie? - zdziwiłam się.

- Dynie na kompostowniku - wyjaśnił.- Będą miały doskonałe warunki, a przy okazji go zasłonią. Wyrosło mi już kilkanaście sadzonek z nasion. Tej z zieloną skórką, którą wsadzaliśmy jesienią do słoików. Mówiła pani, że warto je wysuszyć i zachować na rozsadę. Tak zrobiłem. Ale nasiona cukinii kupiłem. W styczniu.

- Niech pan do mnie przyniesie sadzonki. Dopilnuję, by łąpały słońko, ale nam nie zmarzły.

- Przyniosę jeszcze dzisiaj, jak przyjdę na obiad - obiecał - Powiedziałem panu Tomkowi - kontynuował ogrodniczy temat - że możemy zrobić dwie skrzynie z palet, które mamy. Skręcę je w poniedziałek. W środę, razem z waszym zamówieniem na bratki, przywiozą agrowłókninę i kilkanaście dodatkowych worków ziemi. Zmieszamy ją z naszym kompostem. Jedna skrzynia stanie u pani Zosi - mówiła mi jesienią, że też by chciała u siebie ogórki - jedna u nas. Tutaj - wskazał mi miejsce w słońcu. - Ta nasza będzie właśnie na cukinię i fasolę szparagową na tyczkach. Pan Tomek zamówił nasiona takiej fioletowej.

- Dobra jest też taka płaska, zielona. Powiem, żeby zobaczył czy ją mają. Przydałoby się też wysiać aksamitki. Mają trochę drażniący zapach, ale odpędzą szkodniki. Kiedyś sadiłam je na cmentarzu, ale odkąd postawiłam pomnik wstawiam kwiaty do wazonu. Latem sztuczne, bo żywe szybko więdną, ale z baziami na święta zawsze wstawiam świeże tulipany. Najbardziej je lubię na Wielkanoc. Marysia Alojzego wołała narcyzy. Co to się porobiło w tym naszym kraju, panie Włodku? - westchnęłam ciężko.- Człowiek nie może pojechać do swoich bliskich na cmentarz. Zamknęli nawet Powązki, bo to teren zielony. Jak tak można, panie Włodku? Jak można? Przecież to takie bezduszne i nieludzkie.

Tomek jadł obiad w ogródku - stawiają sobie teraz z panem Włodkiem składany stolik przy mojej ławeczce.

- Nie boisz się, że się doczepią? - zapytałam. - Podobno łążą już nawet po ogródkach działkowych.

- Nie wiem, czy łążą - wzruszył w odpowiedzi ramionami. - Ale jak się zaczną czepiać, to im kulturalnie uświadomimy, że to nie działka tylko przydomowy ogródek. Nie mogą nam zabronić przebywania tutaj, tak jak i dbania o to, co do nas należy. Nie grilluję, nie imprezuję, tylko zjadam samotny posiłek w przydomowym

ogródka. Nie martw się o takie pierdoły, Tereniu. Przestrzegamy przepisów. To straszenie mandatami mnie akurat nie rusza.

- Alojzego też - powiedziałam. - Już się zapowiedział na jutro, na herbatę. Przyjdzie po obiedzie. Podobno ma być jeszcze ciepłej.

- W takim razie Włodek zostawi mu stolik - zdecydował Tomek. - Schowam go jak zjem swój obiad. Dobra ta fasolowa - oblizał łyżkę. - Nie spodziewałem się, że z mrożonki będzie taka dobra.

- Bo na prawdziwym rosole - wyjaśniłam. - Mam jeszcze tylko jedno opakowanie w swojej zamrażarce. Przydałoby się znowu ugotować. Powiedz Zwolińskiemu...

- Nie możesz powiedzieć mu sama?- przerwał mi.

- Mogę - przyznałam, strofując go przy tym spojrzeniem - ale wolę pogadać o tym z tobą. Powiedz mu, - kontynuowałam - że we wtorek zgarnie jeszcze nasze mięso, jak będzie brał dla wszystkich białą kiełbasę.

- Dużo dla nas zamówiłaś?- zaciekawiał się.

- Tyle, żeby było po dwie dla każdego.- Zobaczyłam, że się skrzywił, dlatego od razu dodałam: - I dodatkowa paczka do żurku.

- Dobre i to - mruknął.- Chciałem zrobić pieczoną, jak w ubiegłym roku, z czosnkiem i tymiankiem, ale...- zawiesił głos.

- Powiem pani Zosi, że chcemy jeszcze jedną... - spojrzałam na niego. - Nie. Dwie paczki kiełbasy - zdecydowałam.- Najwyżej zostanie w zamrażarce.

- Naszykuję dla was w sobotę wieczorem. Wystarczy, że wrzucisz rano do piekarnika. Tylko coś mi zostawcie.

- Chyba nie będziesz sprzątał w święta?- zaniepokoiłam się.

- Tylko windy. Dwa razy dziennie. Nie będzie spacerów po piętrach.

- No to dobrze - odetchnęłam.- I tak harujecie z panem Włodkiem jak woły, zwłaszcza ty. I nie będziemy ci nic zostawiać.

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Nasza czwórka zje rano owsiankę. Już ustaliliśmy, że prawdziwe wielkanocne śniadanie zaczniemy jak się wyśpisz. Hela i Staszek będą jedli u siebie, ale ja naszykuję stół na cztery osoby. Przyjdziecie z panem Włodkiem. Posiedzimy, pojedymy, porozmawiamy, tak jak ostatnio. Samotność w święta nie jest dobrym pomysłem. Przecież my i tak funkcjonujemy razem, Tomku, a Alojzy i tak by przyszedł.

Uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością.

- Upiekę jeszcze mazurek - obiecał.- I wstanę jak najwcześniej, ale nie mogę się rozregulować za bardzo.

- Poczekamy - obiecałam.- Wiesz, że pierwszy raz zjem śniadanie wielkanocne w obiad? Ciekawe czy będzie smakować jak śniadanie.

- Jak jem obiad na śniadanie, to zawsze smakuje jak obiad - zapewnił, puszczając do mnie oko.

W Niedzielę Palmową ugotowałam kaszę gryczaną na sypko i gulasz z indyczego udźca, tyle by starczyło nam na dwa dni. Tomek rozmroził, pokroił i doprawił w swojej kuchni mięso. Czekало rano na moim balkonie, w torbie termicznej z wkładem chłodzącym. Hela i Staszek sami już zadbali o jarzynkę ze swoich słoików. Dla naszej czwórki, czyli jeszcze Alojzego i Włodka, wybrałam buraczkę z jabłkiem i papryką, te zrobione przez Danusię Marciniakową. Mam od niej sporo słoików, bo ona lubi moją marynowaną dynię i przeciery pomidorowe, a dzięki pomocy pana Włodka zrobiłam ich tej jesieni bardzo dużo - zupełnie jakbym przeczuwała, że mogą się przydać.

Tomek jeszcze spał, kiedy wcinałam deser, który też czekał na balkonie (zrobił dla całej naszej szóstki). Mój sąsiad zawsze lubi coś sobie upichcić, ale teraz nie ma zbyt dużo czasu wolnego. Dba o nas wszystkich, dlatego to ja pilnuję, by sam systematycznie i dobrze się odżywił.

- Co to jest? To przezroczyście? - zaciekawiał się Alojzy, który konsumował wartość swojego słoiczka.

Byliśmy we dwójkę, ale zachowywaliśmy odpowiednią odległość. Ja siedziałam na fotelu u siebie na balkonie, a mój stary przyjaciel na ławeczce w moim ogródku. Towarzyszył mu, wygrzewający się w promieniach słońca, Wezyr. Duszka wypoczywała teraz w domu - wróciliśmy niedawno ze spaceru wokół wieżowca.

Ta niedziela była zupełnie inna, niż wszystkie od kilku ostatnich lat. Smutniejsza, pomimo pięknej pogody i rozkwitającej coraz mocniej natury. Nie dlatego, że proboszcz o dziesiątej odprawił mszę na kanale w moim komputerze. Nie. Modlić się można przecież wszędzie, tylko nasza dwójka, zaczynając od śmieci mojego Antoniego, a potem Marysi - żony Alojzego - właśnie w Niedzielę Palmową jechała na cmentarz - pochowani są całkiem blisko siebie - by zapalić lampki i zostawić w wazonach część swoich palm. Ale w tym roku pierwszy raz miało być inaczej. Cmentarz nie jest daleko, ale i tak trzeba tam pojechać autobusem. Samochodem, z którymś z sąsiadów i tak mogłoby pojechać tylko jedno z nas. Nie chcieliśmy łamać przepisów, narażać kogoś na mandat. Ustaliliśmy już na początku tygodnia, że zapalimy za nich świece w swoich oknach, a wieczorem, przy ich zapachu, obejrzymy jakąś operę. Od kiedy w naszej filharmonii są przekazy na żywo z Me-

tropolitan Opera, Alojzy kupuje abonament i dla mnie. Wiem, że teraz też czasem ogląda te darmowe przekazy z Nowego Jorku, dlatego to właśnie zaproponowałam. Że będę mu towarzyszyć wieczorem w swoim mieszkaniu, nawet jeśli wolałbym obejrzeć coś lżejszego. Zaproponował, że zrobi jakąś sałatkę. Alojzy ma dwie lewe ręce do gotowania, ale potrafi wyczarować doskonałą sałatkę według przepisu, który go zainteresuje, a jego cytryny w rumie z miodem są prawdziwym lekarstwem na jesienno-zimową chandrę.

- Tapioka - odpowiedziałam. - Zrobił taką jak lubię. Na mleku kokosowym z dodatkiem miodu.

- Pierwszy raz jem coś takiego. I jeszcze ten dżemik z mango i imbirem ... Pycha - oblizał łyżeczkę. - Skąd on go wytrzasnął?

- Zrobił w lutym, jak się przestawiał na ten nocny tryb - wyjaśniałam. - Wiem, bo zabrał mi wszystkie puste, małe słoiki ze spizarki. Usmażył nawet konfiturę z pomarańczy.

- Nasz Tomek wie jak nam dogodzić. Wie, że zasmakował nam jego pomarańczowy mazurek, tak jak wie o naszych zwyczajach.

- Myślisz, że dlatego zrobił nam dzisiaj deser?

- Tak właśnie myślę. - Uśmiechnął się. - Chciał nam trochę osłodzić ten dzień.

- Gdyby nie on bałabym się bardziej tego wirusa - wyznałam. - Tego, że już nie zobaczę Ewy, Romka, moich wnucząt.

- To dlaczego nie pojechałaś do Wrocławia? Przecież Romek chciał po ciebie przyjechać.

- Oni mają tam swoje życie, a ja swoje tutaj. Tu jest mój dom. Tylu życzliwych ludzi i przyjaciół. A nawet moja druga rodzina. Poza tym - roześmiałam się - kto by ci ugotował taką pomidorówkę, jak ja?

- Mogłabyś nauczyć Tomka - odparował. - Ale masz rację. Tęskniłabyś za tym wszystkim za bardzo. Ja też. Dlatego nigdy nie zdecydowałem się pojechać do Janka.

Pogrążyliśmy się w długim milczeniu.

- Co zamierzasz zrobić na kolację? - zapytałam w końcu.

- Co ty na to, Tereniu, żebyśmy jednak nieco zmienili nasze plany?

- Co proponujesz? - zaciekałam się.

- Zamiast „Aidy” - wyjaśniał - którą i tak dobrze znamy, obejrzymy sobie komedię, której akcja rozgrywa się w Grecji. Wiem, że lubisz komedie. Poprosiłem pana Michała, żeby puścił ją na naszym kanale video o osiemnastej. Każdy będzie mógł obejrzeć, ale my przy okazji przypomnimy sobie niektóre miejsca z naszej wspólnej

wycieczki z Marysią i Antonim. Przy, prawie greckiej, sałatce. Nie będzie w niej tylko zielonego ogórka. Mają teraz zbyt twardą skórę, a jak się je obierze są już do niczego.

- Doskonały pomysł - odpowiedziałam z uśmiechem.

Jeszcze chwilę pogawędziliśmy, zanim Alojzy wrócił do swojego siebie. Unikamy i my sąsiedzkich wizyt w mieszkaniach, choć i tak się gdzieś codziennie spotykamy. Jak jest zimno to choćby na spacerze w łączniku na górze. Znamy się przecież od wielu lat, a kiedy mój Antoni tak nagle odszedł, to właśnie Marysia i Alojzy najbardziej mi pomogli.

Zajęłam się szydełkowaniem kolejnej świątecznej kurki. Kiedyś potrafiłam dziergać moim szydełkiem szybko, ale teraz moje ręce są zdecydowanie mniej sprawne, choć stale je ćwiczę, zmuszam do ruchu. I choć szydełkuję znacznie wolniej to nadal wychodzą mi prawdziwe cudowna, takie jak chusta dla Ewy pod choinkę.

Tomek zadzwonił do moich drzwi po szesnastej. Zapytał o samopoczucie, zabrał obiad, ale nie wyszedł do ogródka. Zjadł u siebie. Przed osiemną słyszałam jak wychodzi. Pewnie poszedł pojeździć na rowerze na górze i przy okazji popilnować wieczornych spacerowiczów po wieżowcu. Nielicznych, bo większość wykorzystwała piękną pogodę, ale niektórzy z nas polubili nasze schody. Małgosia i Hela skorzystały z takiej możliwości. Podrzuciły mi przy tym sałatkę od Alojzego.

Film bardzo mi się podobał. Komedia, trochę nawet taka romantyczna, w pięknej greckiej scenerii.

W poniedziałek rano po Duszkę przyszedł pan Włodek. Powiedział, że Tomek zjadł z nim śniadanie, jak tylko wrócił z Wezyrem, a potem zabrał samochód i gdzieś pojechał. Chciał załatwić coś bardzo ważnego.

Po powrocie Tomek, zanim się położył, dał mi bukiet ciemnoróżowych tulipanów.

- Takie jak lubisz - powiedział.

Popłakałam się dopiero, kiedy pokazał mi zdjęcie. Taki sam bukiet, ale z baziami, był w wazonie. Zapalone trzy znicze. I do tego jeszcze czysty pomnik.

- Zdążyłem posprzątać już w ubiegły piątek - powiedział. - Wiem przecież, ile to dla was znaczy, by na święta było i tu czysto. Myślałem nawet, że wczoraj jest zamknięte, jak na Powązkach, ale okazało się, że u nas nie było zakazu. Kiedy się zorientowałem nie chciałem już psuć waszych własnych planów. Wolałem przyjechać i zrobić to, co zrobilibyście sami. Włodek powiedział mi jeszcze o waszej rozmowie. Nie powstrzymała was obawa przed wirusem, tylko te kretyńskie przepisy.

Popłakałam się ze wzruszenia i radości. Wiem, że Alojzy też. Tomek pokazał mi przecież także zdjęcie grobu Marysi i jej rodziców. Z narcyzami i baziami. Pan Włodek nawet to mu przypomniał.

W czwartek zrobiłam na obiad makaron z serem i cynamonem. Tomek chciał tylko makaron - pewnie dorzucił jakiś swój sos.

- Jeśli nic się nie wydarzy, Krzysiek Szulc przyjdzie w sobotę późnym wieczorem - mówił, popijając kawę na swoim balkonie. Zatrzymałam się po spacerze z Duszką w ogródku.- Załatwił sobie trzydniową przerwę. Musi odpocząć.

- I bardzo dobrze - skomentowałam.- Dziewczynki i Ola za nim tęsknią.

- Przyjedzie razem z tym kolegą - lekarzem.

- Tylko ich dobrze zdezynfekujcie, żeby nic dzieciom nie sprzedali - zastrzegłam.

- Przejdą wszystkie etapy naszego odkażania - obiecał. - Byłoby im za ciasno w szóstkę, dlatego Jola z Michałem odstąpią im swoje mieszkanie. Sami będę mieszkać u mnie przez święta - wyjaśnił.

- Bardzo ładnie - pochwaliłam.- Dobrze, że tak zrobili. W takim razie zjemy późne śniadanie nie w dwóch, a trzech mieszkaniach. A skoro będziesz miał towarzystwo przy swoim stole, przyjdzie do mnie tylko Alojzy i pan Włodek. Hela i Staszek przyjdą potem na sernik do ogródka. Ma być bardzo ładna pogoda w niedzielę.

- Zawsze mogą go zjeść na moim balkonie. Nie muszą przecież nic dotykać, przechodząc przez mieszkanie. My, młodszy gdzieś sobie pójdziemy. Choćby na spacer z psami.

W piątek po południu pan Włodek też przyniósł mi tulipany - pomarańczowe z takim czerwonym płomieniem w środku.

- Pani Basia z synem mówili, że jadą po nie do jakiegoś ogrodnika. Poprosiłem by kupili i dla mnie, bo lubi pani tulipany na Wielkanoc - powiedział.- Ale nie będę ich trzymał do niedzieli u siebie. Pani najlepiej potrafi o nie zadbać. Pani doktor Oli też już dzisiaj zaniosę.

Znowu miałam łzy w oczach. Ze wzruszenia i wdzięczności. A wieczorem miałam ponownie, tylko ze złości. Pokazali na TVN jak na Powązki wjechały limuzyny. Te warszawskie Powązki zamknięte dla każdego, za wyjątkiem tego napuszonego konusa, wokół którego skaczą ciągle jakieś sługusy. Starego dziada, który już daw-

no sfiksował i przejawia coraz częściej swoje antyspołeczne zaburzenia osobowości. Tak go zdiagnozował mój zięć, Romek - psychiatra. Byłam zła, obserwując ten pokaz pogardy, tak bardzo raniący uczucia nas, zwykłych obywateli, którzy mają problem, bo nawet nie mogą odwiedzić teraz swoich bliskich na cmentarzach, a jemu wolno. Bo temu, śmiejącemu się z prostych ludzi, napuszonemu dziadowi akurat wolno wszystko. Dlatego miałam łzy złości w oczach.

A potem uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy, w moim ponad osiemdziesięcioletnim życiu, życzę komuś źle. Tego, by może chociaż ten wirus znalazł do niego drogę i zrobił z nim w końcu porządek. By nie wyszedł już ze szpitala, jak tam trafi. Bo jest złym człowiekiem, który jeszcze ma w pogardzie innych. Ten stary, zgorzkniały konus uderzył w strunę moich własnych emocji. Pierwszy raz w moim długim życiu życzyłam komuś źle i poczułam się z tym bardzo źle. Aż sama zadzwoniłam do Ewy - ona dzwoni do mnie codziennie koło dziewiątej - żeby jej powiedzieć, co myślę. I nawet dodałam, że jakby umarł teraz byłby jeszcze jeden pożytek. Nie byłoby pogrzebu z pompą. Na co ona odpowiedziała:

- Mogłabyś się bardzo zdziwić, mamo. Z pompą może nie, ale uroczystość państwowa rządzi się własnymi prawami. Sama chyba zresztą widziałaś, jak było przy pomniku.

No tak. Powinni chociaż stać dalej od siebie.

W sobotę przed południem upiekłam sernik. Duży kawałek - prawie 1/3 blachy - pan Włodek zaniósł Zosi Millerowej, razem ze słoiczkiem mojej dyni w occie. Zosia już wczoraj podesłała mi ćwikłę, a Danusia Marciniakowa słoiczek chrzanu z jabłkiem.

Hela i Staszek przygotowali święconkę. Ugotowali nawet w łupinach cebuli jajka - mają taki piękny brązowy kolor. Proboszcz, w samo południe, poświęcił nasz niewielki koszyczek na parafialnym kanale, ale Staszek i tak poświęcił go drugi raz. Uznał, że skoro ma okazję, bez świętokradztwa, do udzielenia pokarmom błogosławieństwa to zrobi to po swojemu. Nie byłam świadkiem tego wydarzenia, ale Hela powiedziała mi, że wzruszyła się jego słowami.

Po południu ruszyłam z Duzką na spacer wokół wieżowca. Z tyłu na trawniku, pod, przekwitającą już, śliwą wiśniową czekał w fotelu maturzysta Marcin. W tej fajnej osłonie na twarz. Coś robił na swoim telefonie. Duzka od razu do niego podbiegła, zachęcając go szczekaniem do zabawy. Zajęłam jego miejsce, kiedy rzucał jej piłeczkę. Zanim ruszyłam dalej, podał mi papierową torbę z usztywnionym dnem.

- Zajączek ją tutaj zostawił dla pani, pani Teresko - powiedział.- Z życzeniami zdrowych i spokojnych świąt. Dziękujemy za kurki dla dzieci. A mama dziękuję za serwetkę. Wieczorem podrzucę jeszcze bułeczki, które upiecze. Hania Szulc ozdobiła swojego zajączka i dała dla pani. Była zachwycona swoim koszyczkiem.

Po powrocie do mieszkania znalazłam w torbie mięciutkiego zajączka z materiału w kropeczki ze wstążką i jakimiś kwiatuśkami, małe czekoladowe jajeczka w siateczce i zieloną świeczkę w kształcie jajka. Mydełko z bazy glicerynowej z mlekiem kozim (wyczytałam to na dołączonej karteczce) o cytrusowym zapachu zrobił dwunastoletni Maciek - brat Marcina. Zajączek z filcu na patyku i kartka z życzeniami wykonane zostały przez dziesięcioletniego Mikołaja. Kurczaka z rolek po papierze toaletowym i papierowe tulipany na patykach zrobiły Hania i Karolinka - córeczki Oli Szulc.

Już cztery tygodnie temu zajęłam się szydełkowaniem kurek. A dziewczynom doktor Szulc wydzierałam też kolorowy koszyczek - zostało mi jeszcze sporo bawełnianego sznurka z poliestrowym rdzeniem. Hela ze Staszkiem robili pisanki karczochowe ze wstążek. Danusia Marciniakowa robiła swoje kwiaty z krepiny - wyczarowała w tym roku piękne narcyzy. Alojzy też kilka zrobił i dał bukiet Romie i Iwonie, które w przerwach w szyciu fizelinowych maseczek, szyły bawełniane zajączki i jajeczka - wystarczyło je jedynie czymś wypełnić i potem ozdobić. Wypełniali kulkami silikonowymi Franciszek i Genia, a zszywała Zosia. Trzeba był czymś się zająć podczas tego przymusowego siedzenia w domach. Na szczęście zostało nam sporo materiałów z ubiegłego roku, a zarząd naszego seniorskiego klubu zapłacił za te, które były jeszcze potrzebne.

Święta nie zapowiadały się tak źle. Może nie tak radośnie jak zawsze, ale przynajmniej zdrowo i nikomu z nas nie groziła samotność przy niedzielnym śniadaniu. Nawet Danusi Marciniakowej, która postanowiła, że pójdzie jednak do Iwony i Romy. Musiała przecież pokonać jedynie jedno piętro, a w nocy z soboty na niedzielę Tomek i tak robił dezynfekcję. Wirus w koronie ponoć najbardziej boi się alkoholu, a nasz bimber ma przecież odpowiednią moc.

Może jednak zrobię w tym roku nalewkę z pigwy? Ładnie zakwitła, a Kazio Miller już nam zdradził, że latem wydestylują coś i na wewnętrzny użytek.



Matura w cieniu wirusa, albo o tym, jak „O” zniknęło w cieniu „0”



Do piętnastej swoje drobiazgi od zajęczka odebrali u mnie wszyscy seniorzy (dla niektórych zabrali je współlokatorzy lub sąsiedzi). Pogoda w Wielką Sobotę sprzyjała „przewietrzeniu się” wokół wieżowca. Nawet pani Danusia Marciniakowa wyszła na spacer ze swoimi yorkami. Przegoniła mnie nawet z fotela, bo musiały odpocząć. Nic dziwnego. Nie wychodziła z mieszkania chyba już od czterech tygodni. Prawdziwy cud, że w ogóle się zdecydowała.

Zuzia fajnie to wszystko wymyśliła. Wybrała kilka filmów na YouTube z dokładną instrukcją wykonania różnych prac plastycznych. Dostosowała je do materiałów,

które gromadziła na warsztaty wielkanocne dla swojej gromady zuchowej - jest drużynową w harcerstwie. Do zajęć zorganizowanych dla swoich zuchów - jest wśród nich trójka dzieci z naszego wieżowca - zaprosiła wszystkie dzieci z naszej wspólnoty. Założyła swój kanał, udostępniła na nim filmy, które wybrała i nagrała też własny z piosenka, której się mieli uczyć na zbiórkach. Rodzice okazali się bardzo wdzięczni za taką inicjatywę - dzieci biorą udział w czymś sensownym, a większość dostała już oceny od swoich nauczycieli (Zuzia organizowała zbiórki gromady na terenie pobliskiej podstawówki, którą sama skończyła, a prawie wszystkie dzieci tam się uczą).

Nasi najstarsi mieszkańcy w przeciągu kilku ostatnich lat robili różne fajne rzeczy. Powybierali to, co im było potrzebne do wykonania swoich prac, a resztę dali Zuzce. Część prac dzieci trafiła do torebek seniorów. Prace seniorów trafiły do torebek dzieci, także tych spoza wieżowca z całej gromady zuchowej. Bardzo różne czekoladowe jajeczka zakupił klub seniora, tak jak to zrobił w grudniu, kupując śliwki w czekoladzie i cukrowe laski. To był właśnie ten pomysł Zuzi - międzypokoleniowy zajacek.

Nieduże świeczki dla seniorów i duże dla nas, młodzieżowych wolontariuszy, przekazała pani Kasia Banasiak. Zaskoczyła nas bardzo taką formą podziękowania za to, że i jej dzieci biorą udział w ciekawych zajęciach. Ona jest ostatnio trochę zagubiona i smutna. Mam wrażenie, że źle znosi nieobecność męża. Trochę dziwne, że nie zdecydował się do tej pory na pracę zdalną z domu. Jemu z całą pewnością zrobiliby test w czasie kwarantanny. Poseł, którego biuro prowadzi miał przecież kontakt z kimś, kto okazał się zakażony. Trochę to wszystko dziwne, bo nie informowała, że choruje. Ale co mnie to obchodzi?

Mój brat Maciek, trochę za stary już na zucha, wymyślił, że można zrobić mydła glicerynowe. Kupiliśmy jedynie bazę mydlaną. Resztę znaleźliśmy w pudłach w klubie. Czwórka zainteresowanych nastolatków spotkała się kilka razy w suszarni - w zespołach dwuosobowych - gdzie przygotowaliśmy dla nich stanowisko mydlarskie. Odpowiadałem za ich bezpieczeństwo i przestrzeganie zasad higieny. Mogłem się przy tym bez problemu uczyć, a raczej najczęściej powtarzać materiał.

Zajęcia w szkołach zawieszono w połowie marca. W mojej klasie matematyczno-anglistycznej nie martwimy się jednak o oceny. Nikt nie miał jedyńki na semestr, a nauczyciele uzgodnili z nami, już w tym tygodniu, że wystawią takie same, chyba, że ktoś z nas chce wyższą. Tym, którzy na nią zasługują podwyższą sami. Mnie akurat nie zależy na wyższych. Wystarczają mi moje mocne „czwórki”. Ale z angielskiego i w. f. będzie piątka.

Wyjątkiem wśród nauczycieli jest mój matematyk, a zarazem wychowawca. Jako jedyny nadal systematycznie nas ocenia. Wysłała nam w poniedziałek i środę, koło dziewiątej, zestawy wielu zadań o bardzo różnym stopniu trudności. Decyzji nas, maturzystów, pozostawia to, czy będziemy je rozwiązywać. Prawidłowe odpowiedzi, czasem z różnym sposobem rozwiązania, dostajemy wieczorem. W piątek wysłała nam za to tylko 5 zadań. Trudnych. I każdy z nas dostaje inne. Czeka na ich rozwiązanie do końca niedzieli. W poniedziałek dostajemy odpowiedzi i ocenę. Jedyński i tak postawił tylko raz. Tym, którzy odebrali zadania - przecież wie kto - ale ich nie odesłał. Uznał, że skoro dorośli ludzie olewają jego wysiłki, to ma prawo ich nagrodzić. Poinformował przy okazji nas wszystkich, że lepiej mu przyjąć do wiadomości, że trójka jego wychowanków olała jego, niż to, że nie potrafią nadal czytać ze zrozumieniem. Przecież każdy z nas zaakceptował jego warunki. Mój matematyk to szalenie inteligentny, poukładany i sprawiedliwy nauczyciel. Wymaga bardzo dużo, ale potrafi też przekazać wiedzę. Tak, jak ta młoda nauczycielka, która mieszka teraz u doktor Szulc. Doskonale tłumaczy fizykę. Sporo na tym z Zuzią korzystamy. Nie tylko zresztą my. Nasi koledzy i koleżanki również.

W tym tygodniu, w czwartek, zapadła w końcu decyzja, że matury odbędą się najwcześniej w czerwcu. Niektórzy z moich znajomych uważają nawet, że w tym roku nie będzie egzaminu maturalnego. Michał, informatyk z dziesiątego piętra, ma takie zdanie jak Zuzia i ja. Ósme klasy nie muszą zdawać egzaminu, który i tak nie ma większego znaczenia. Matura to jednak zupełnie coś innego, zwłaszcza, że zdajemy ją na różnych poziomach, a od uzyskanych punktów zależy to, gdzie się dostaniemy na studia. Moja czwórka z matmy i czwórka kogoś z klasy humanistycznej ma przecież zupełnie inną wagę. Niby ta sama ocena na świadectwie, ale ja znam lepiej matkę niż on. I to my, z klas ścisłych, wybieramy najczęściej rozszerzenia z przedmiotów ścisłych, bo naszym celem są głównie studia politechniczne lub medyczne. Michał powiedział nawet, że nie zdziwiłoby go, gdyby otworzono w czerwcu szkoły tylko dla przeprowadzenia matur. Nie rozumiem jedynie dlaczego mówią, że poinformują o nowym terminie z trzytygodniowym wyprzedzeniem. Przecież on i tak już dawno został wyznaczony. Ten dodatkowy, właśnie czerwcowy, dla tych, którzy nie mogliby uczestniczyć w pierwszym z przyczyn zdrowotnych. A że nie możemy teraz wszyscy? No cóż.

Pan Kozłowski przyszedł z Wezyrem przed piętnastą. Zastąpił mnie pod drzewem. Ktoś musiał popilnować toreb na trawniku, choćby z daleka. Tak jak i wystawionej już teraz puszki. Przez najbliższą godzinę miały przychodzić po swojego

zajęczka dzieci. Oczywiście z kimś pełnoletnim. Zbieraliśmy środki na zakup materiałów na kolejne warsztaty. Rodzice sami zaproponowali, że się zrzucą.

Zadzwoiłem po Maćka. Zszedł z Nemo - naszym młodym labradorem - i już z dwoma psami ruszyliśmy na dłuższy spacer. Absurdalny nakaz poruszania się niepełnoletniego wyłącznie pod opieką osoby pełnoletniej spowodował, że mój dwunastoletni brat nie może nawet sam wyprowadzić psa, co do tej pory zawsze robił po powrocie ze szkoły. Na szczęście nie chodzimy do niej obaj, a mama też jest teraz w domu. Chciała zawiesić działalność, ale pan Tomek Orfański poradził jej, by jednak poczekała na ruchy rządu. W efekcie wystąpiła o zwolnienie ze składek i postojowe dla swojej jednoosobowej działalności. Nie dostała jeszcze decyzji, ale i tak zamknęła zakład, tak jak nakazano. Jest przecież kosmetyczką. Przerzuciła się na produkcję naturalnych kosmetyków. Jej aloesowego żelu do mycia dłoni wzbogaconego o spirytus używają u nas wszyscy - jest też dostępny w dozownikach na klatkach. Tylko to akurat produkcja społeczna, na rzecz wspólnoty. Na sprzedaż produkuje inne kosmetyki. Wiem, że nie tylko pan Tomek zamówił u niej aloesowe mydło w płynie. Ja też zamówiłem coś u mamy - balsam o zapachu moreli i wanilii. Zamierzam podarować go Zuzi, tak jak i waniliowe mydło, które sam dla niej zrobiłem. W formie z tulipanami. Umówiliśmy się na jutro. Po śniadaniu wielkanocnym ze swoimi bliskimi zabierzemy Nemo i yorki pani Marciniakowej na bardzo długi spacer.

Od października szlifujemy z Zuzią swój angielski podczas różnych konwersacji. Spotkaliśmy się na Sylwestra u naszego wspólnego znajomego. Na obydwu naszych studniówkach partnerowaliśmy sobie podczas poloneza, a od Walentynek Zuzia Zwolińska jest moją dziewczyną. Wkurza mnie teraz, że muszę zachowywać odległość, nawet podczas spacerów z psami. Na szczęście działamy razem w ramach młodzieżowego wolontariatu. Spotykamy się także w suszarni, gdzie najczęściej się wspólnie uczymy, całujemy i tańczymy (wykupiliśmy sobie zajęcia taneczne on-line). Nasi rodzice wiedzą o tym i nie zabraniają nam takich kontaktów.

Jestem pełnoletni i ponoszę odpowiedzialność za to, co robię, ale słucham też tego, co mówią ludzie bardziej ode mnie doświadczeni. Kiedy oficjalnie potwierdzono obecność „pacjenta zero” w Polsce usłyszałem, jak pan Alojzy Kozłowski skomentował to pod nosem, mniej więcej tak:

- Pacjent zero? Akurat.

Było to na wieczornym zebraniu naszej rady bezpieczeństwa. Poprosił mnie po niej, żebym, idąc z Nemo na spacer, zabrał także Wezyra. Zapytałem go potem, co miał na myśli.

- Nasz pacjent zero, Marcinie, - wyjaśniał, kiedy zaprosił mnie do mieszkania - to zaledwie pierwszy zidentyfikowany przypadek, wskazujący jedynie na obecność choroby w naszej populacji. Obawiam się, że ta cała medialna szopka, z jego wychwytem i pokazywaniem przy tym sprawności działania naszych służb, doprowadzi jedynie do wielu błędnych posunięć.

- Nie rozumiem, panie Alojzy - zdziwiłem się.- To chyba dobrze, że go wychwycono? Można dotrzeć do ludzi, z którymi miał kontakt i ich przebadać.

- Biorąc jedynie pod uwagę śledzenie ścieżki, którą przemieszcza się teraz wirus, odpowiedzialny za jego objawy chorobowe, to nawet bardzo dobrze. Tyle, że okres inkubacji tego dziada jest długi, a sam test zabiera kilkanaście godzin. W naszym kraju mamy potwierdzony pierwszy przypadek choroby, ale nosiciel choroby i chory to nie to samo. I kluczowe jest to, co powiedziałeś „przebadać”. Nie liczyłbym na to, mój młody kolego. Nie po tym, co dzisiaj usłyszałem. Zdecydowanie bardziej na nadzór epidemiologiczny czy objęcie kwarantanną. Tylko nawet do tego trzeba być przygotowanym.

- W ubiegłym tygodniu była dość głośno o pozytywnym przypadku w naszym szpitalu zakaźnym - mruknąłem - ale szybko to zdementowano.

- Minister od zdrowia pokazał się nam w roli eksperta-epidemiologa - skomentował pan Alojzy.- A przecież nim nie jest. Za bardzo liczą, że ograniczą rozprzestrzenianie się „korony” dzięki śledzeniu jego ścieżek. Dopiero jak pęknie setka chorych poczną jak się im pali grunt pod nogami. Bo wtedy mała śniegowa kuleczka przyspieszy i zacznie stawać się kulą. Mnie najbardziej niepokoi to, że zakażeni będą pojawiać się na SOR-ach. Ludzie nie są wcale przygotowani. Będą panikować, popełniać proste błędy. I zapewne nieraz się dowiemy, że ktoś, kto został zdiagnozowany, pozarażał po drodze sporo osób, zanim sam zgłosił się do szpitala. Nie można skupiać się jedynie na śledzeniu ścieżek, tylko robić jak najwięcej testów. Także ludziom z pierwszej linii frontu - służbie zdrowia. Wiesz, Marcinie, że pacjent zero to tak naprawdę efekt pomyłki drukarskiej?

- Jak to pomyłki drukarskiej?- spytałem zaskoczony, nie tyle tą informacją, co taką nagłą zmianą tematu.- Nie rozumiem.

- Poczytaj sobie w Internecie o epidemii HIV - mówił pan Alojzy.- To nie była cyfra zero, tylko litera O. Błąd człowieka, zwykła literówka w druku spowodowała pojawienie się określenia "pacjent zero". Ludzki błąd, Marcinie. Żyjemy w świecie, w którym kolejny, bardzo paskudny wirus rozdaje karty. Tyle, że wirus nie myśli. Robi swoje i szuka jedynie warunków do swojego istnienia. To ludzie mają rozum i to ludzie popełniają błędy. Ważne, by nie uczyć się wyłącznie na swoich, ale także

wyciągać wnioski z cudzych. Choćby tych włoskich. My, dziadki, zrezygnowaliśmy nawet z wizyty w filharmonii w sobotę, a był przekaz z premiery na żywo.

- Całkiem niedawno oglądałem „Epidemię” z Dustinem Hoffmanem, panie Alojzy - powiedziałem po chwili namysłu.- Chciałem zabrać Zuzię do kina w niedzielę, ale może jednak obejrzymy sobie coś w domu.

Internet to świetne narzędzie do wyszukiwania różnych informacji, zwłaszcza jeśli nie musimy korzystać jedynie z tłumaczeń, a ja szlifuję swój angielski bardzo różnie. Po tej rozmowie przeczytałem sporo o epidemii HIV. Pierwszy pacjent chory na AIDS w Stanach, po wielu latach badań nad wirusem, nie okazał się źródłem wirusa w USA, o co go bardzo długo podejrzewano, tylko dlatego, że pracował w liniach lotniczych i był bardzo aktywnym seksualnie homoseksualistą. Zmarł w początkach epidemii w 1984 roku. Jednak w maju 2016 roku, na podstawie jakiś badań genetycznych, umieszczono go gdzieś pośrodku drzewa genealogicznego wirusa HIV (okazuje się, że nawet wirusy mają takie). Niedobór odporności u młodego homoseksualisty zdiagnozowano już 1969, a podczas sekcji jego zwłok rozpoznano nawet mięsaka Kaposiego. Opis tego przypadku opublikowano w czasopiśmie medycznym w 1973 roku. Dotarłem nawet do informacji, że objawy identyczne jak przy AIDS opisano już w 1966 roku. U człowieka, który zmarł w Norwegii. Jako marynarz dwukrotnie był w Afryce. Nie był homoseksualistą, ale jeżdżąc potem po Europie, jako kierowca ciężarówki, lubił korzystać z usług prostytutek. Zaraził wiele z nich, tak jak i swoją żonę. Ona też zmarła.

Poczytałem o różnych pacjentach, takich prawdziwych „zero”, czyli źródle rozprzestrzeniania się wirusa na jakimś terenie. Niektórzy z nich nigdy nie zachorowali, jak choćby ta babka od tyfusu, albo niemowlę od cholery¹. Nawet ten meksykański przedszkolak od świńskiej grypy w 2009.

Zacząłem też częściej oglądać różne programy informacyjne.

Film z Zuzią obejrzelśmy w moim pokoju w piątek. Nie poszliśmy też na koncert do klubu muzycznego. Bilety nie były takie drogie, ale uznaliśmy oboje, że nie warto kusić losu. W niedzielę, 8 marca, odwiedziliśmy za to zoo. Razem z Maćkiem. Nigdy nie byliśmy w zoo o tej porze roku.

Okazało się, że tylko dzięki słuchaniu innych, poszerzaniu własnej wiedzy i naszej rozwadze uniknęliśmy, już dwukrotnie, z Zuzką nadzoru epidemiologicznego. Od 11 marca zoo było już niedostępne, tak jak i wszystkie obiekty kulturalne i rekreacyjne prowadzone przez miasto. W tym dniu potwierdzono też pierwszy przy-

¹ Nawiązanie do epidemii tyfusu w Nowym Jorku w 1907 roku i cholery w Londynie w 1854 roku.

padek choroby w naszym szpitalu zakaźnym. 14 marca Sanepid poszukiwał osób, które były w piątek w klubie muzycznym. Sporo licealistów z trzech różnych szkół - nie od nas, bo chcieliśmy pójść na koncert bez naszych znajomych - znalazło się pod nadzorem epidemiologicznym. 17 marca szukano też ludzi, którzy byli w kinie w niedzielę. W tym kinie, do którego chcieliśmy się wybrać. Co z tego, że nie na 14:00 tylko 17:30. Przecież ten wirus jest aktywny także na powierzchniach. Nie mam pojęcia, dlaczego Sanepid ograniczył się do konkretnego seansu.

7 marca pogadałem też o moich własnych przemyśleniach z tatą. O tym, że trzeba zrobić wszystko, by nasz polski system opieki medycznej mógł pomóc tym, którzy będą wymagali hospitalizacji i to nie tylko dlatego, że zetkną się z nowym wirusem. Bo przecież jest mnóstwo innych chorób. Dlatego trzeba pomóc służbie zdrowia, jak tylko się da, tak jak i najślabszym z nas. By mieli jakieś szanse. Bo to się nie skończy szybko. Powiedziałem mu tym, że jestem wkurzony na rząd, który mógł do dawna skierować do sejmu projekty ustaw pozwalających na sprawne funkcjonowanie państwa w warunkach epidemii, ale nic nie zrobił od stycznia. Nawet nie dlatego, że nie widział problemu. Bo uważam, że jednak widział, tylko czekał do samego końca, by wykorzystać sytuację. Wprowadzić tylną furtką korzystane dla siebie zmiany. Przecież rzucił w końcu posłom swoją specustawę, a tego nie pisze się w weekend. Postawił ich pod ścianą - wszystko albo nic. A mnie, po raz kolejny, pokazał palec. Bo tak to odebrałem. Postawił wyżej od bezpieczeństwa i zdrowia nas, zwykłych obywateli, swój własny interes. Mój tata też tak to odebrał, zwłaszcza kiedy sejmowa większość okazała się ponownie głucha na poprawki senatorów.

Tata powiedział mi, że dyskutował z panem Szulcem, ratownikiem medycznym, po tym jak powołano naszą Radę Bezpieczeństwa Mieszkańców. Tata sam się do niej zgłosił. Ma nie tylko uprawnienia budowlane konstrukcyjne, ale i projektowe. Ma też kolegów, którzy prowadzą różne firmy. W ciągu jednego tygodnia dostosowano naszą świetlicę do wszystkich potrzeb mieszkańców, nie tylko tych medycznych. Wystarczyła do tego instalacja, w odpowiednim miejscu przestronnego pomieszczenia, systemu szklanych ścian mobilnych. W piwnicy też go zamontowano, tak by utworzył coś w rodzaju śluzy, zgodnie z sugestią pana Szulca. Pieniądze się znalazły - wiem od Zuzi, że na konto Klubu Seniora wpłynęło sporo różnych darowizn już w lutym - a tata załatwił tak, by koszty systemu i jego instalacji były jak najniższe.

Już w połowie lutego, pan Szulc powiedział mojemu tacie, co sam zamierza zrobić, jak tylko potwierdzą obecność wirusa w naszym kraju. I co zrobią niektórzy ludzie ze środowiska medycznego, by zapewnić bezpieczeństwo swoim najbliższym, bo o tym, że ktoś, komu udzielali pomocy, ich zakaził dowiedzą się, w pierwszej fazie epidemii, tylko w dwóch przypadkach: kiedy zachorują sami lub z jakiegoś powodu przebadają się na obecność koronawirusa. Tyle, że nawet wtedy na wyniki testów trzeba będzie poczekać, a oni nie zamierzają czekać na nie pośród członków swoich rodzin.

W czasie tej naszej rozmowy w marcu, tata zdecydował, że też będzie się z nami rzadziej spotykać, za to dobrze przygotowuje się do takiego spotkania od strony bezpieczeństwa nas wszystkich. Mówił mi też, że nie można już kupić półmasek przeciwpyłowych krótkiego użytkowania. I choć jego firma już dawno zainwestowała w trwałe silikonowe półmasksi z wymiennymi pochłaniaczami i filtrami, to o same filtry teraz też już trudniej.

Oboje z Zuzką uniknęliśmy przymusowego siedzenia w domu. Możemy dzięki temu nadal pomagać innym. Zmieniliśmy nasze plany, nie tyle w obawie przed samym zakażeniem - uważamy, że i tak kiedyś do niego dojdzie, choć liczymy, że nasze młode, zdrowe organizmy jakoś sobie z tym poradzą - ale tego, że moglibyśmy coś nieświadomie przywlec naszym bliskim. Nie bada się przecież każdego podejrzanego o możliwość kontaktu z wirusem. Bada się tylko tego, który ma już objawy choroby. O tym właśnie mówił pan Szulc tacie. O tym, że jest zbyt mało testów, bo jest zbyt mało laboratoriów, w którym mają być robione. Przynajmniej na początku.

Mój tata wrócił z budowy autostrady - jest kierownikiem robót drogowych - wczoraj, późnym wieczorem. Przeszedł etap dezynfekcji w piwnicy: wrzucił rzeczy, w których przyjechał do pralki, wykąpał się dokładnie, zmierzył temperaturę, przebrał w dostarczone przeze mnie do piwnicy ubranie i dopiero wtedy przyszedł do mieszkania. Kurtkę i buty zostawił wcześniej w samochodzie. Pan Tomek zajął się jego dezynfekcją w nocy - ma odpowiednie urządzenie, takie jakie stosuje się w ambulansach.

Tata nie był w domu przez ostatni miesiąc. Operatorzy maszyn pracowali na trzy zmiany, ale na weekendy niektórzy wracali do rodzin. On pracował wtedy nad dokumentacją - i tak musiałby pokonać prawie 350 kilometrów w jedną stronę - ale dzięki takim decyzjom wszyscy mają teraz wolne przez najbliższe 9 dni. Obiecał już, że na ten krótki, majowy weekend też przyjedzie. Planował wcześniej urlop na

pierwszy tydzień moich matur, ale skoro w maju ich nie będzie, to wykorzysta go później.

Od kiedy mamy w kraju epidemię koronawirusa, wiele sam się nauczyłem, nie tylko tego, co będzie mi potrzebne na maturze. I być może wiedza, której nie wykorzystam w czasie egzaminu maturalnego przyda mi się najbardziej. Choć ostatnio wykorzystałem ją nawet w szkole, a moja anglistka nagrodziła mnie za to „szósteczką”. Bo nie tylko przetłumaczyłem to, czego szukałem, ale napisałem po angielsku referat, w którym, w interesujący sposób, przekazałem rówieśnikom naukową wiedzę, na temat różnych pacjentów zero, zaczynając od tego, który pojawił się na świecie w wyniku pomyłki w druku. Pacjenta nazwanego „O” zastąpiło „zero”.

Epidemiczny stan umysłu



Kardynalny błąd? Czepiasz się, bo szybko zareagował? Zazdrościsz, że umył ręce szybciej od ciebie?

Z niesmakiem oglądałem telewizyjne show wicemarszałka Senatu, który zarzucił swojemu przeciwnikowi politycznemu, że niewłaściwie pokazał jak korzystać z dozownika do mydła. Na oczach kamer instruował teraz, że trzeba przycisnąć go nadgarstkiem, grzbietową częścią ręki, albo nawet łokciem, bo naciskanie kciukiem przyczynia się do rozprzestrzeniania zarazków. Facet, któremu gorycz porażki tkwi nadal w gardle znowu odleciał. Jakby nie rozumiał, że w tym przestrzeganiu zasad higieny nie chodzi o chirurgiczne mycie rąk, tylko o ich częste i dokładne mycie, także podczas parlamentarnej roboty. Ale on czepia się od dawna wszystkiego, byleby tylko postawić swoją kropkę nad „i”.

Jeden i drugi to nie tylko chirurdzy, ale i byli ordynatorzy, a nawet dyrektorzy szpitali. Praktycznie rówieśnicy. Obaj ludzie z wyższym wykształceniem, a przy tym z tak różnym poziomem kultury politycznej i, co tu dużo gadać, osobistej.

Nie zajmowałbyś się kolego głupotami, jakbyście używali zwykłego mydła w kostkach, tak jak to nadal robi większość ludzi w swoich domach. - Pomyślałem i w odpowiedzi na te polityczne przepychanki wybrałem się z Wezyrem na dłuższy spacer. Nie czekał długo przed sklepem monopolowym, w którym kupiłem pół litra spirytusu. Spirytus zawsze warto mieć, zwłaszcza jak w grę wchodzi jakaś dezynfekcja. Alkohol etylowy w odpowiednim stężeniu to skuteczny pomocnik w eliminowaniu różnych patogenów.

Następnego dnia usłyszałem, że nasz krzywousty Premier uruchomił dodatkowe 100 mln dla szpitali na przygotowania do pojawienia się koronawirusa w Polsce. Mogą o nie wnioskować za pośrednictwem wojewodów.

Mogą? Dopiero teraz? Ciekawe, co i za ile kupią?

Ola Szulc nie mogła już od tygodnia zamówić w hurtowniach medycznych preparatu do odkażania rąk. Dobrze, że kupiliśmy wcześniej 6 litrowych wkładów do dozownika. Przypomniałem sobie o nim, kiedy zamawialiśmy mydło w płynie. Bo zamiast mydła zamówiliśmy w efekcie antybakteryjną emulsję do mycia.

4 marca Minister od zdrowia ogłosił oficjalnie, że wirus w koronie trafił już do naszego kraju. W tym samym dniu, ten od klęski został w końcu ministrem od klęski i wojny. Wystarczyło, że zapewnił nas, że wojsko jest przygotowane, by odpowiednio reagować na koronawirusa.

- Najważniejsze, że wojsko jest przygotowane, Alojzy - skomentował Staszek, z którym wybrałem się do ojczulków bonifratrów po olej żywokostowy oraz soki

z alosu i pokrzywy.- Jak wojsko gotowe to i służba zdrowia sobie poradzi. Ważne, że czuwa ktoś, kto zaciągnie wszystkie medyczne ręce do roboty. Nawet te emeryckie, bo z tego co słyszałem wczoraj od pana Krzysia, to lekko nie będzie. Wiesz, że w karetkach nie mają kombinezonów?

- Wiem - przytaknąłem.- Nie mają też zbyt wiele maseczek jednorazowych. Wszystko kierowane jest do szpitali. Jak oni mogli, aż tak to spieprzyć, Stasiu?- westchnąłem.- Tak, że brakuje wszystkiego już na samym starcie. Już nie mogę tego słuchać. Przypomnij mi lepiej, żebym kupił mieszankę na cukier dla pani Danusi.

Wieczorem przekazałem pani Krysi Kwiatkowskiej płytkę z ostatnim badaniem mojego stawu biodrowego i zgłosiłem się na ochotnika do badania EKG. Potem długo rozmawiałem z synem na Skype. Janek już w lutym chciał mnie ściągnąć do siebie, do Danii. Odmówiłem. Tu jest mój dom, przyjaciele, grób Marysi, moje książki. Tutaj najlepiej się czuję. Nie pojechałem do niego osiem lat temu, to nie pojedę i teraz. Wybiłem mu nawet z głowy pomysł, by Patryk - mój wnuk - przyjechał po mnie i Wezyra samochodem. Mój czworonożny przyjaciel jest już za stary na takie długie podróże. Prawdę mówiąc, ja też.

Upewniłem syna, że wszystko u mnie porządku, opowiedziałem, co nowego zrobiliśmy na gruncie naszych lokalnych przygotowań. Był zaskoczony, ile sami zrobiliśmy. Umówiliśmy się, że codziennie do siebie zadzwonimy i przynajmniej dwa razy w tygodniu pogadamy na Skype.

6 marca wirus zawitał do Szczecina, Ostródy, Zielonej Góry i Wrocławia. Nic nie ogranicza go w podróży. Korzysta z tak różnych środków komunikacji i przewoźników.

Dyrygent naszej orkiestry czerwonych serc - Jurek Owsiak - zareagował najszybciej. Odwołał od razu jakieś koncerty eliminacyjne do tego festiwalu w Kostrzynie. Argumentował to właśnie zagrożeniem epidemiologicznym. Przełożono nawet gdyński półmaraton. A nasi złotouści? Nic. Apelują jedynie do tych, co wracają zza granicy. Zupełnie jakby nadal nie skapowali, że to bez znaczenia. My przecież żyjemy w kraju, w którym jest już wirus. A ludzie już różnie to znoszą. Jak choćby ta kobieta z pociągu. Ta, która zdiagnozowała koronawirusa wyłącznie na podstawie ataku kaszlu pasażera o azjatyckich rysach. Zdążył wysiąść, ale interwencja służb spowodowała dwugodzinne zatrzymanie pociągu na Dworcu Centralnym. Mężczyznę zlokalizowano, ale nie objęto go nadzorem epidemiologicznym. Obejmuje się tyłu innych ludzi, ale tylko tych, co pasują do jakiegoś algorytmu GIS. Do wskazanej

grupy ryzyka. Tyle, że wirusy mają gdzieś algorytmy. Powinno się robić jak najwięcej testów, ale... testy przecież kosztują.

Obecność koronawirusa odsłania różne stany ludzkich umysłów. To jak reagujemy w sytuacji zagrożenia jest doskonałym wskaźnikiem tego, kim naprawdę jesteśmy.

Najlepszy w tym wszystkim jest i tak nasz naczelny specjalista od składania autografów. Na spotkaniu wyborczym w Piszcu urósł nawet do roli higienicznego guru. A jak przy tym uspokajał ... Cóż znaczy pięć zachorowań w 38- milionowej skali. Służby dobrze działają, osoby z podejrzeniem są natychmiastowo hospitalizowane.

Zaledwie pięciu tych, którzy zachorowali. - Pomyślałem. - A co z tymi, których nie przebadacie, bo nie pasują do algorytmów. Co z tymi, co nie zachorują, a będą nosicielami. Lepiej byś robił, siedząc na tyłku w pałacu. Bo narażasz nie tylko siebie, ale i tych, z którymi się spotykasz. Chociaż...? Jakby się okazało, że sam go złapałeś, to się o tym i tak nie dowiemy. Bo wyszedłbyś na tego, co zaraża. A to byłoby wizerunkowe seppuku.

7 marca usłyszałem, że wydano rozporządzenie zwalniające z akcyzy spirytus. Orlen będzie mógł rozpocząć produkcję płynu do dezynfekcji.

- No jasne, Orlen - mruknałem, wyłączając telewizor.- Ciekawe po ile będą sprzedawać ten płyn?

Po południu pojechałem na samą górę do łącznika. Zanim wszedłem do naszego punktu medycznego, Tomek Orfański w jakiejś przezroczystej osłonie na twarz i jednorazowych rękawiczkach zmierzył mi temperaturę. Potem założył mi taką samą osłonę.

- Przypomniałem sobie o nich. Włodek podczas koszenia woli siatkę, a ja poliwęglan - wyjaśniał. - Udało mi się kupić 18 uchwyty i 26 osłon z poliwęglanu. Można je dezynfekować. Będziecie ich używać podczas swoich wizyt w gabinecie. Ta będzie pańska i pana Staszka. Jest już podpisana.

Po wejściu do punktu medycznego zajęła się mną najpierw doktor Szulc - obie z panią Krysią były w maseczkach, rękawiczkach i takich samych osłonach jak moja. Ośluchała moje płuca, obejrzała gardło - byłem w doskonałym stanie - i sprawdziła jak działa mój aparat do mierzenia ciśnienia, mierząc mi je tradycyjnie, stetoskopem.

Potem, pod jej czujnym okiem pani Krysia zrobiła mi EKG.

- Doskonale pani Krysiu - pochwaliła ją Ola. - Poradzi sobie pani sama. Panie Alojzy - zwróciła się do mnie - wiem, że miał pan zacząć dwudziestego trzeciego rehabilitację ambulatoryjną, ale...

- Pani doktor, - przerwałem - nie zamierzam kusić losu. Odwołam to w poniedziałek. Mam nadzieję, że z uwagi na sytuację, będę mógł skorzystać w innym terminie. Ale jak będzie potrzeba, załatwię sobie rehabilitację prywatnie - oznajmiłem. - Poszukam kogoś, kto mnie przyjmie.

- Chyba znalazłam lepsze rozwiązanie.

Obrzuciłem ją pytającym spojrzeniem.

- Już ustaliłam z fizjoterapeutą, który przyjeżdża do pani Gieni - wyjaśniała - że i panu wystawię zlecenie na rehabilitację w warunkach domowych. I tak wkrótce z uwagi na rozwijającą się sytuację epidemiczną sami odwołają pańską wizytę. W pana wieku nie będzie wskazane chodzenie do placówek zdrowia publicznego bez istotnego powodu, ale skoro stan pańskiego biodra wymaga rehabilitacji...

- Poczyszające, że nawet przy tym „koronie” mój wiek może być atutem. - Uśmiechnąłem się do niej.

- Od szesnastego marca fizjoterapeuta będzie przychodził dwa razy w tygodniu tutaj, na górę. O dziewiętej. Do pana i pana Franciszka. On ma przecież Parkinsona, zatem też się kwalifikuje. Pani Gienia zdecydowała, że też dotrze na zabiegi tutaj. Tomek obiecał, że to zorganizuje. Będzie zaczynała po was, o dziesiątej trzydzieści. W ośrodku nie widzą przeszkód, by jeden z fizjoterapeutów zajmował się przez dwa dni rehabilitacją domową. Dopóki tylko będzie to bezpieczne, choć przy naszych procedurach... Skorzysta też na tym pani Małgosia Wróbel, która z uwagi na zawnoszony RZS², miała zacząć zabiegi właśnie szesnastego.

- Jestem pełen podziwu dla takiego rozwiązania - przyznałem z błyskiem w oku.

- Doktorze Kozłowski. - Spojrzała na mnie z powagą. - Wszyscy staramy się, by system sobie poradził, a przy tym nie ucierpeli zbyt mocno pacjenci z innymi schorzeniami. Na razie ograniczyłam się do pracy jedynie w szpitalu, tak jak koleżdy, z którymi dzielę gabinet w ramach prywatnej praktyki, ale jeśli zamkną szkoły to wykorzystam urlop, albo przejdę na pracę zdalną w poradni. Wszystko będzie zależało od kolejnych ruchów rządu. Zaproponowałam takie rozwiązania szefowi, nie tylko dlatego, że Hania ma astmę i zaczyna się czas, który nasila jej objawy. I tak nie mogłabym spokojnie pracować na oddziale, kiedy Krzysiek tak będzie się teraz narażał. Ordynator doskonale mnie rozumie. I jest mi wdzięczny za pańskie

² RZS - reumatoidalne zapalenie stawów.

podpowiedzi, by izba przyjęć pracowała teraz w stałych trzyosobowych zespołach. To rzeczywiście zminimalizuje ryzyko zakażenia wielu pracowników na raz.

- Ludzie nie zawsze informują lekarzy o wszystkim, Olu - uśmiechnąłem się do młodej lekarki, którą polubiłem bardzo, już podczas jej studiów.

- Wiem. Tylko dlaczego cały czas się zastanawiam, czy to w porządku z mojej strony, panie Alojzy? - Zagryzła wargi.

- Bo jesteś nie tylko odpowiedzialnym lekarzem, ale i wrażliwym człowiekiem. Nie martw się, pani doktor Szulc. Twój mąż pracuje teraz za was dwoje. Ale ty nadal jesteś na bardzo ważnej linii frontu. Dbaj jedynie o swoje bezpieczeństwo i psychikę. Tylko wtedy twoi pacjenci będą mieli szanse, jeśli coś im się przydarzy. Ludzie nie chorują jedynie z powodu koronawirusa, Olu. I sama dobrze wiesz, że nie każdemu pacjentowi udaje się pomóc.

- Jak dobrze, że wyszłam za Krzyśka - uśmiechnęła się w odpowiedzi z ulgą. - Dzięki niemu mieszkam tu, gdzie doktor Alojzy Kozłowski. Ale nadal nie wiem, co zrobić z panią Kaczmarek, panie Alojzy - zmieniła temat. - Ostatnią chemię ma wyznaczoną na 25 marca. Szpitale zakaźne wiedzą jak postępować i są nieźle przygotowane, ale cała reszta - westchnęła. - Sama musiałam przewertować różne procedury, by jak najlepiej was zabezpieczyć. Mogę załatwić przewóz, ale to nie rozwiązuje problemu. Tyle godzin w ambulatorium... Naprawdę nie wiem, co będzie w szpitalach za dwa tygodnie, jak ludzie zakażeni będą siedzieć na SOR-ach, czy izbach przyjęć. Nadal nie nałożyli przecież obowiązku wydziałania w nich izolat. I jeszcze takie braki w środkach ochrony osobistej.

- Porozmawiaj z jej onkologiem - zasugerowałem. - Spróbuj załatwić tak, by podano jej kroplówkę u nas. Jakby co, uruchomię kogo się da. Na samej histopatologii jest ze dwóch moich uczniów.

- To by się dało zrobić. Dopilnujemy jej z panią Krysią, ale... - zastanawiała się. - Z tego, co pamiętam potrzebna jest wcześniej pełna morfologia.

- Mogę porozmawiać z szefową laboratorium diagnostycznego - zaproponowała pani Krysia. - Tego naprzeciwko przedszkola. Pomagałam jej podczas porodu i potem w położu. Była bardzo zadowolona z opieki. Może uda się coś załatwić.

- Niech pani porozmawia - zdecydowała Ola. - W razie czego ja też wezmę w tym udział. Zaskoczyło mnie, panie Alojzy - powiedziała jeszcze, zanim opuściłem punkt sanitarny - że udało się tu stworzyć tak doskonałe warunki do działań medycznych. Pomyśleliście praktycznie o wszystkim, ale... - zawahała się - tu nie ma zakażonych. A mnie wystarczy zabezpieczenie, które mam. Przekazałam już wszystkie maseczki jednorazowe z gabinetu szpitalowi. Przecież mam te wasze,

z fizeliny i nawet mam przyłbicę. Nikt z nas nie musi zakładać tych kombinezonów - wskazała przy tym na szafę, w której było dwadzieścia hermetycznie zapakowanych, indywidualnych zestawów ochrony biologicznej w rozmiarze M i L - a jak zaistnieje kiedyś taka potrzeba, to pan i tak tego nie założy.

- Masz rację - uśmiechnąłem się do niej. - Zatem, gdzie według ciebie powinny trafić, pani doktor Szulc?

- Przede wszystkim do szpitali położniczych - zdecydowała. - Wiem, że tam jest z tym najgorzej, a dzieci pchają się przecież nawet na zawirusowany świat.

- Zawsze wiedziałem, że najlepiej to zagospodarujesz, choć kupowałem je z myślą o tobie - wyznałem.

- Sam pan to kupił? - zdumiała się pani Krysia. - Myślałam, że to z naszych środków.

- Tak. Dla doskonałej lekarki, by nie musiała się martwić na zapas przy takim podejściu do potrzeb służby zdrowia - odpowiedziałem, widząc wzruszenie na twarzy Oli.

- Dziękuję, panie Alojzy - wyszeptwała. - Ale naprawdę poczuję się lepiej wiedząc, że to tam trafi.

- W takim razie niech twój mąż przyjedzie i je zabierze - powiedziałem - ale zostaw po jednym komplecie dla siebie i pani Krysi. Tak na wszelki wypadek. Czasem lepiej chuchać na zimne.

- Panie Alojzy przecież to musiało kosztować z... pięć tysięcy - dociekała nasza pielęgniarka.

- Wtedy, kiedy je kupowałem wydałem jakieś... tysiąc pięćset.

- To kiedy pan je kupił? - zaciękała się Ola.

- Na początku stycznia. Kiedy po raz pierwszy raz usłyszałem o wirusie podobnym do SARS. Informował o tym w mediach społecznościowych chiński okulista z Wuhan, a ja czytam różne rzeczy w Internecie i mam znajomych na całym świecie. Wiesz sama, jak fascynuje mnie literatura popularnonaukowa i thrillery medyczne.

- Pana wykłady z patomorfologii były jednymi z najciekawszych - uśmiechnęła się. - A te pańskie kryminały... Najbardziej lubię ten, w którym studenci medycyny pomagają w rozwiązaniu zagadki morderstwa.

- Żałuj, że nie studiowałaś, kiedy sam prowadziłem zajęcia kliniczne. - Puściłem do niej oko. - Mogłabyś brać udział w jej rozwiązaniu. I właśnie z tego wpadły mi ostatnio największe środki, nie tylko na kombinezony.

Kiedy zamykałem drzwi, widziałem jak zdumienie w oczach trzydziestokilkuletniej Oli Szulc ustępuje już miejsca fascynacji.

W ciągu kilku dni w zawrotnym tempie znikają z półek sklepowych płyny i mydła bakteriobójcze, rękawiczki jednorazowe. Podobno środkiem deficytowym stał się nawet papier toaletowy. Powiedziała mi o tym Zuzia Zwolińska, kiedy wróciła z drogerii.

- Panie Alojzy o chodzi z tym papierem? Dlaczego ludzie tak go wykupują? Co on ma do tego wirusa?

- Nic, Zuziu. Być może to jedynie wyraz braku zaufania do władzy, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Kiedy w Polsce wprowadzono stan wojenny papier toaletowy był towarem deficytowym. Mamy bardzo konkretne zagrożenie, które wzbudza w ludziach różne emocje, nie tylko u tych, którzy widzą ogrom dotychczasowej bez troski i obawiają się różnych manipulacji. Mamy przecież za sterem naszego statku o nazwie „Polska” bardzo specyficznych ludzi. I nie zdziwi mnie jeśli spróbują wykorzystać pandemię nawet do reelekcji prezydenta. Już teraz wszędzie go pełno.

- To prawda - przyznała. - Odwiedził w niedzielę jakieś gospodynie, a dzisiaj ma nawet wygłosić orędzie.

- Trwa kampania wyborcza, Zuziu.

- Ja go nie lubię - oznajmiła stanowczo. - I nie rozumiem, dlaczego ma takie poparcie. Przecież on jest fałszywy. Nawet teraz. Gadał o funduszu, który ma być przeznaczony na leczenie chorób onkologicznych. To po co pozwolił, by tyle kasy poszło na telewizję? Mógł przecież tego nie podpisać, zwłaszcza, że go o to proszono. Ale najbardziej mnie wkurza, że mieni się ekspertem w każdej dziedzinie. Ma za nic autorytety i ludzi z wiedzą i doświadczeniem. I jeszcze te jego teatralne zachowania. Jakby mu już całkiem odbiło. Chociaż - zaśmiała się - jak ostatnio zrobił te wielkie oczy i znowu był czerwony, to Michał stwierdził, że chyba coś mu mocno wlało w tyłek, a nie on komuś - przerwała na moment i zagryzła wargi. - Wiem, że nie wypada tak mówić - tłumaczyła speszona - nawet jak to zabawne i mamy właśnie takie skojarzenia. Jak pan sady, panie Alojzy? Nie wypada? Przecież to nie najlepiej świadczy o mojej kulturze.

Przyglądałem się jej z uśmiechem błędzącym po mojej twarzy.

- O tym jak się wyśpisz, panno Zuzanno - zacząłem - w dużej mierze decyduje to, jak sobie pościelisz. Nie przejmowałbym się zbytnio, czy wypada czy nie, skoro sam zapracowałem na to, by tak go postrzegano, ale skoro nawiązujesz do swojej

kultury... Możecie zawsze mówić, że ma zacopowane jelito grube. A konsystencja stolca, panno maturzystko, zależy od różnych czynników. I niestety często świadczy o jakimś procesie chorobowym.

Śmiała się z tego bardzo głośno.

Wieczorem nie słuchałem orędzia. Szkoda moich nerw. Pojeździłem za to na swoim starym rowerze stacjonarnym, słuchając przy tym płyty z wiedeńskiego koncertu Andre Rieu. Tej nagranej w końcówce ubiegłego roku. Dostałem ją na gwiazdkę od Patryka, kiedy przylecieli we czwórkę na tydzień do Polski. Mój wnuk to dobry i mądry człowiek. Doskonały inżynier automatyki i robotyki. Tyle, że zamiast partnerki ma sympatycznego partnera, z którym dzieli życie. Trafił mi się wnuczek „kochający inaczej”, ale mnie to nie przeszkadza. Czy wolałbym by dzielił je z kobietą? Pewnie, że tak, ale to jego życie, nie moje, a homoseksualizm to wcale nie fanaberia, dewiacja czy życiowy wybór, tylko najczęściej robota genetyki. Może to wszystko przez to, że Elena urodziła go tuż sprzed czterdziestką? Cholera wie. Tak czy siak, albo akceptuje się swoją orientację seksualną, albo zaczynają się problemy ze zdrowiem psychicznym. A jeśli dochodzi jeszcze wrogość ze strony innych, czy nawet stygmatyzacja? Dobrze, że Janek ułożył sobie życie w Danii, bo w Polsce mój wnuk miałby przerąbane.

Nie czekaliśmy zbyt długo. 12 marca nasz złotousty Premier ogłosił wprowadzenie w Polsce stanu zagrożenia epidemicznego.

- Alojzy - zagadnął mnie wieczorem Staszek, kiedy graliśmy u mnie w szachy - to mamy już ten stan wyjątkowy, czy nie?

- Teoretycznie nie, ale w praktyce stan epidemiczny to jednak rodzaj stanu wyjątkowego. Przecież zagrożone jest bezpieczeństwo nas, obywateli. Zmienia się cała sytuacja prawna. I tak wprowadzą dużo większe ograniczenia w sposobie naszego życia i swobód obywatelskich niż dzisiaj.

- Myślisz, że to nie wszystko? - zaniepokoił się mój przyjaciel i sąsiad.

- Nie mogą od razu zafundować nam wszystkich atrakcji, Stasiu. Za bardzo by zdenerwowali ludzi. W polskiej świadomości stan wyjątkowy ma zbyt duże związki z wojennym. Zaczęli delikatnie od odwołania imprez masowych, a teraz już zamykają różne instytucje publiczne, całą oświatę i rozrywkę. To pójdzie stopniowo, ale szybko, bo nie panują nad tym, jak się rozprzestrzeni nasz koroniasy wirus.

- Najwyraźniej przekroczył już granice ich wyobraźni - mruknął Staszek.

- I to jeszcze jak, skoro zamknęli nawet dzieciakom place zabaw. Zamiast przystosowywać ludzi do życia w nowych warunkach brną tak bardzo w model azjatycki. W ograniczenia i kary. A mogliby to tak ładnie pomieszać - westchnąłem.

Ależ mnie zdenerwował ten diabeł z Torunia, panie Alojzy - zaczął mnie hydraulic Miller 20 marca, kiedy wracałem z Wezyrem z parku. - Nawet teraz wyciąga łapy po więcej. Co za wredny typ.

- Niech pan nie siedzi tyle na Facebooku, panie Kaziku - zasugerowałem, wiedząc w jakich grupach się udziela. - A jak już, to niech pan czyta więcej tego, co buduje, a nie irytuje.

- Ta Dominika Kulczykowa to fajna babka - rozpromienił się w odpowiedzi. - Nie tylko ładna i mądra, ale jeszcze potrafi się podzielić z ludźmi. Ona nie da się wydymać tym z rządu. O, nie. Tak samo jak nasz Owskiak. Tylko, co z wyborami, panie Alojzy? Przecież w takich warunkach nie da się prowadzić normalnej kampanii.

- Wyborami bym się teraz nie przejmował. Najwyżej się nie odbędą. Skupmy się raczej tym, by reagować tak jak oczekuje od nas służba zdrowia. Bo to jej musimy teraz pomóc.

- No, tak - westchnął. - Co nam po tym całym sprzęcie, jak nie będzie miał nas kto do niego podłączyć. Ma pan rację. Nie czas na zajmowanie się wyborami, ale... wkurza mnie, jak ten pajac się teraz lansuje. Nic na to nie poradzę, panie Alojzy, że mnie tak bardzo wkurza. To chyba już jakiś stan umysłu. Nie tylko mój. Pan Franciszek powiedział wczoraj mamie, że gdyby płacił składki członkowskie to miałby okazję kopnąć go teraz w dupę, żeby przestał w końcu pierdolić te głupoty. To naprawdę stan umysłu, panie Alojzy. Pan Niewiadomski i pisiory? Nieprawdopodobne. Chyba coraz gorzej z jego głową.

- Ależ skąd, panie Kazimierzu - roześmiałem się.

A potem śmiało się obaj, jak mu opowiedziałem, co zrobił Franciszek Niewiadomski w 2006 roku. Po tym jak upadł rząd Marcinkiewicza zapisał się do regionalnych struktur partii bliźniaków, których nie znosił. Zamierzał przeprowadzić dywersję od środka, ale szybko się zorientował, że bez układów i wchodzenia wszystkim w tyłek nie dotrze, kiedy jeszcze ma siły, na szczeble, które go najbardziej interesowały. Sami go skreślili w lipcu 2008 po tym, jak im nie zapłacił przez pół roku kolejnej składki członkowskiej. Ale przynajmniej dowiedział się, jak to działa. O tym, że się zapisał powiedział nam w kwietniu 2007, jak toruński diabeł nazywał prezydentową „czarownicą”. Franciszek nie znosił bliźniaków, ale szanował

żonę tego, którego nazywał „mniejszym złem”, tylko dlatego, że miała rozum i własne zdanie. I już wtedy miał ochotę kopnąć w dupę jakiegoś prezydenta, który nie zajął zdecydowanego stanowiska w obronie swojej małżonki. Gdyby nie ten jego cholerny Parkinson, to nie wiadomo, co by się mogło wydarzyć, zwłaszcza w połączeniu z fantazją Staszka Zawadzkiego. Bo to właśnie Staszek wymyślił tę dywersję, ale w przeciwieństwie do Franciszka poprzestał na gadaniu.

Kolejne pomysły na walkę z wirusem wprowadzane przez rząd, coraz bardziej skręcały w stronę stanu wyjątkowego. Ograniczanie naszych swobód przyjąłem jednak z dużym zrozumieniem. Zwłaszcza tę konieczność zachowania dystansu między ludźmi. Rozwiązaliśmy to ze Staszkiem w dość zabawny sposób, grając na dwóch szachownicach w drzwiach swoich mieszkań. Przestrzegamy wprowadzonych zarządzeń choćby po to, by dawać dobry przykład młodszym pokoleniom. Na szczęście zakaz rekreacji i spacerów, tak potrzebnych dla naszego zdrowia, zwłaszcza tego psychicznego, pomógł nam pięknie obejść nasz gospodarz. Ale w kwestii parku chyba najbardziej pomogły nam nie te wysłane pisma, ale mój spacer.

Jak tylko pojawiły się taśmy, obszedłem drzewo z tą, którą blokowała wstęp na główną aleję w naszym parku i ruszyłem wolno przed siebie. Szybko podszedł do mnie patrol Straży Miejskiej.

- Jest zakaz. Nie wolno tu przebywać - odezwał się szorstko młody, mężczyzna średniego wzrostu. - Proszę natychmiast opuścić park.

- Dzień dobry - odpowiedziałem.

- Dzień dobry - odburknął po chwili, w przeciwieństwie do swojego wyższego kolegi, który odpowiedział na moje powitanie kulturalnie i dodał: - Nie wie pan, co oznacza taka taśma? Dlatego pan ją ominął?

- Doskonale wiem, co ona oznacza, bo nie raz zdarzało mi się ją przekraczać - oznajmiłem z uśmiechem.

- Bardzo niedobrze. - przerwał mi ten niższy. - Nie tylko nie stosuje się pan do przepisów, ale jeszcze z uśmiechem o tym mówi. A skoro tak lubi pan łamać przepisy, to może zamiast upomnienia od razu wypiszemy mandat? - Obrzucił mnie srogim spojrzeniem.

- Jak nie ma pan nic innego do roboty, to niech pan pisze - zdecydowałem bez wahania. - Ale jednak sobie usiądę, bo mnie biodro zaczyna boleć, jak za długo stoję - skierowałem się do najbliższej ławki, nie zważając na jego zaskoczenie i nieudolną próbę protestu. - Macie szczęście, panowie - kontynuowałem po chwili

- że mam z sobą dokumenty. Idę do laboratorium. Tego naprzeciwko przedszkola. Niestety to nie badanie moczu. Krew muszę im dostarczyć w żyłach. Ta aleja...

- Badanie krwi po jedenastej... ? - przerwał mi nagle niższy. - Co to za bzdury. Przecież to się robi na czczo, dziadku.

- Młody człowieku. - Spojrzałem na niego z przyganą. - Istnieją badania, które nie wymagają bycia na czczo. Choć ja akurat jestem na czczo, bo wstałem dopiero po dziesiątej i nic nie jadałem. I nie nazywaj mnie dziadkiem tylko dlatego, że mam swoje lata. To bardzo źle świadczy o twojej kulturze.

- No, nie! - wybuchnął. - Łamię przepisy, łązi po parku i jeszcze mnie poucza. Nie ma, co z nim dyskutować - zwrócił się do kolegi. - Dowalę mu taki mandat, że od razu mu się odechce.

- Opanuj się, Adrian - przerwał mu ten drugi. - Może jednak się przejdź - zaproponował. - Przepraszam pana - powiedział do mnie, kiedy jego kolega się oddalił. - Mamy teraz sporo nowych obowiązków.

- To chyba nie usprawiedliwia takiego zachowania kolegi?

- Nie - przyznał. - Po prostu różnie radzimy sobie w tej pracy. Niestety nie może pan przebywać na terenie parku. Nic na to nie poradzę. Takie mamy teraz przepisy. Nawet jeśli są one idiotyczne - westchnął.

- Moje przebywanie w tym miejscu ma związek wyłącznie z tym - wyjaśniałem mu spokojnie - że akurat ta aleja to najkrótsza droga z naszego osiedla nie tylko do laboratorium, ale i do piekarni, czy nawet do kościoła. Jeśli miałbym obejść park dookoła nadłożyłbym jakiś... kilometr, i to tylko w jedną stronę. A jak sam pan widzi mam pewne ograniczenia ruchowe. I nie jestem jedyny na osiedlu, który je ma.

- To faktycznie najkrótsza trasa - przyznał po tym, jak już ogarnął wzrokiem teren. - Powiadomię o tym przełożonych. Może da się z tym coś zrobić.

- Dziękuję. Mogę już wrócić do domu? Nie pójdę jednak na to badanie. Za dużo czasu już straciłem. Zrobię je sobie w poniedziałek. Może do tego czasu coś się tu zmieni.

- Może - przyznał z uśmiechem. - Ale jak nie, to przyjdziemy tutaj dopiero... - spojrzął na swój telefon - ...po dwunastej, panie Kozłowski, Witkowski albo Zawadzki.

- Kozłowski. Ałozy Kozłowski - uściśliłem. - Patolog na emeryturze.

- Czyli to stąd ta wzmianka o taśmie - mruknął. - Komendant mnie uprzedził - wyjaśniał po chwili - że możecie coś kombinować, ale pan ma rację, panie Kozłowski. Wypadłoby coś zrobić z tym przejściem przez park, bo to też najkrótsza droga nawet do przystanku tramwajowego. Znam to osiedle. Mieszkam w pobliżu.

- Alojzy... - zaczepił mnie po kilku minutach Franciszek Niewiadomski, który czekał z panem Włodkiem i Wezyrem na ławce przed wieżowcem. - Ten nieboszczyk, to ktoś kogo znamy?

- Tam nie ma nieboszczyka, Franiu.

- Jak to? - zdziwił się. - Zawróciliśmy, bo przecież zabezpieczyli wejście taśmami, łązą ci mundurowi, a ty powiedziałaś Włodziewi, żeby popilnował Wezyra, bo masz coś ważnego do roboty i tam polazłeś. Jak to nie miejsce zbrodni, to po co te taśmy?

- Mamy przecież zakaz wchodzenia do parku, zapomniałeś o tym? Nie wolno teraz wchodzić na jakiegokolwiek tereny zielone. Nawet do lasu.

- Coraz mniej już z tego rozumiem, Alojzy - zdenerwował się Franciszek. - Mam siedzieć na dupie w domu, by się nie narażać, to siedzę. Ale dlaczego nie mogę wejść do parku, jak jest ładna pogoda, a ja powinien spacerować? Skoro jest tak bardzo źle, to dlaczego ten, co wszystko podpisuje nie ogłosił jeszcze stanu wyjątkowego?

- Nie wiem, Franiu. Nie wiem - westchnąłem.

- Może obawiają się - wtrącił się pan Włodek - że zaszkodziłby sobie wizerunkowo przed wyborami. Ogłaszając stan wyjątkowy za bardzo mógłby przypomnieć ludziom Jaruzelskiego.

- Co ty pierdolisz, Włodziu... - zdumiał się Franciszek. - Przecież on nie jest wojskowym. On tylko zakłada mundur, bo chce lepiej wyglądać, jak jest z żołnierzami.

Zaśmiałem się w duchu z takiego rozumowania, a pan Włodek próbował mu wyjaśnić, co naprawdę miał na myśli.

- Ale jego wyborcy, panie Franciszku, to jednak w dużej mierze ludzie starsi - zaczął.

- Ja na niego nie głosowałem - przerwał mu jednak stanowczo Franciszek. - Jestem stary i nawet mam coś z głową, ale nie głosuję na tych, co trzymają z kurduplem, bo oni mają jeszcze bardziej nie tak ze łbami niż ja. Przecież włożą w dupę temu szaleńcowi, zamiast go porządnie w nią kopnąć, a najlepiej zamknąć w jakimś psychiatryku. To mówisz, Alojzy, że tam nie ma żadnego trupa? - zwrócił się do mnie, zmieniając swoim zwyczajem temat na ten, który najbardziej absorbował jego umysł. - Czyli mogę iść na mój spacer?

- Nie możesz, Franiu. Jest zakaz. Wlepią ci mandat.

- Mam w dupie jakieś mandaty - zdenerwował się ponownie. - Doktor Szulc mi powiedziała, że mam spacerować codziennie przynajmniej przez pół godziny.

Robię to od dawna. A jak jest pogoda to tam najlepiej mi się chodzi. Bo jest równa ścieżka.

- W takim razie idź - zdecydowałem. - Tylko nie zrywaj taśmy. Obejdź drzewo. Najlepiej to z prawej strony. Tam nie ma korzeni. A jakby cię zaczepili, to im powiedz ...

- Już ja wiem, co im powiem, Alojzy - przerwał mi już spokojnie. - Nie jestem idiotą. Tylko czasem potrzebuję więcej czasu. Skąd oni biorą takich ludzi...? - Westchnął jeszcze, zanim ruszył do parku.

Dobrze, że ktoś mu teraz pomaga i pilnuje na bieżni, jak nie ma pogody.- Myślałam, patrząc jak się oddala. - I jak to dobrze, że Oli udało się załatwić tę rehabilitację także dla niego. Przy Parkinsonie zwiększa się jednak ryzyko zapalenia płuc. No i ma z kim pogadać, bo ja też z niej korzystam w tym samym czasie.

Taśmy blokujące, z obu stron, wejścia na główną aleję parku zniknęły już następnego dnia. Kiedy wybrałem się na spacer z Wezyrem koło jedenastej, porządku pilnował wysoki strażnik w towarzystwie młodej strażniczki.

- Dostałem stały przydział w tym rejonie, panie Kozłowski - oznajmił, kiedy oboje się ze mną przywitali. - Każdy może korzystać z przejścia przez park, ale wyłącznie tą aleją. Jeśli komuś towarzyszy pies, to wyłącznie na smyczy. Proszę też przestrzegać dystansu, nie schodzić z alejki i nie siadać na ławkach. Nie tylko z uwagi na przepisy, ale i własne bezpieczeństwo. Ludzie z nałogami mają w nosie wirusa i nie wiadomo, co mogą tu przywlec. Będziemy tu codziennie zaglądać podczas patrolowania całego osiedla i rynku, zatem jeśli któraś ze starszych osób miałby jakieś potrzeby, to proszę to nam zgłaszać.

Po Wielkanocy wprowadzono nakaz noszenia maseczek. Rozumiałem, dlaczego noszą je w Chinach i widziałem nawet jego zasadność w określonych sytuacjach w Polsce. Głównie w celu przypominania ludziom o konieczności utrzymywania dystansu w różnych zbiorowiskach, zwłaszcza w przypadku dużej liczby chorych, która byłby dla mnie świadectwem, że tych zakażonych i bezobjawowych jest trzy, albo nawet i ze cztery razy więcej. Bo przecież jak widzisz kogoś w maseczce na twarzy i tobie samemu coś na niej przeszkadza, to znacznie łatwiej się zdyscyplinować. Coś ci przypomina, że zagrożenie nadal istnieje. Ale ten nakaz noszenia maseczek nawet w parkach, do których będzie można już wchodzić? W miejscach, gdzie powinno się korzystać z możliwości dotlenienia organizmu? Przecież saturacja podczas noszenia maseczki spada. Jaki jest zatem sens wychodzenia w niej na

spacery? A co, jeśli ktoś jeszcze korzysta z tych jednorazowych i zapomina, że należy je zmienić po kilkunastu minutach? Ja zasugerowałem kupno materiału, który umożliwia oddychanie, a Tomek, który biega, pokazał dziewczynom od szycia z czego korzysta zimą. Ale nawet nasze, "oddychające", maseczki wielokrotnego użytku nie nadają się do zbyt długiego noszenia. Dlatego część z nas korzysta teraz z przyłbic, tych z punktu medycznego, a Tomek drukuje na bieżąco jakieś osłony.

Nie jesteśmy Azjatami. W Chinach czy Japonii ludzie i tak są przyzwyczajeni do sięgania po jakieś maseczki. Głównie te antysmogowe, z filtrami. Ale korzystają z nich w drodze dokądś, a teraz także w skupiskach ludzi. Tylko tam jest olbrzymie zagęszczenie ludności. Nic dziwnego, że większość różnych zaraz zaczynała się przeważnie w Azji, na czele z Chinami. U nas nakaz używania maseczek powinien obowiązywać w sklepach, środkach transportu publicznego, podczas wizyt w placówkach ochrony zdrowia - przecież po coś tam idziemy - a już całą pewnością, kiedy mamy objawy jakiegokolwiek infekcji. Bo zakładanie maseczki to nie ochrona przed wirusem, tylko przeszkoda dla tego, co możemy mieć w sobie. To nasza własna odpowiedzialność za innych. Tylko tyle i aż tyle.

Najbardziej zirytowało mnie jednak to karanie ludzi za brak czegoś, co muszą sami zdobyć, bo państwo im tego nie zapewnia. Nakłada za to obowiązek i chce jeszcze na tym zrobić. Bo pomijając absurdalne grzywny, to jednymi z pierwszych, którzy wprowadzili masowo maseczki do sprzedaży okazała się spółka skarbu państwa. Ta sama, która szykuje się teraz do roli Państwowej Komisji Wyborczej. W tle walki z koronawirusem toczyła się przecież walka o przełożenie wyborów, które w obecnych warunkach nie miały nic wspólnego z wyborami.

Nie mogłem nadal zrozumieć tej zapalczywości i głupoty rządzących. Ogłoszenie stanu wyjątkowego w warunkach epidemii to przecież nie to samo, co jego ogłoszenie w 1981 roku. A mogłoby rozwiązać teraz sporo problemów i uspokoić narastającą frustrację ludzi, zwłaszcza, że i tak mamy w kraju stan wyjątkowy, tyle, że nienazwany tak wprost.

14 kwietnia Tomek Orfański pozbawił mnie ostatnich złudzeń w kwestii zdroworozsądkowego rozwiązania wyborczego kryzysu.

- Nie będzie żadnych wyborów 10 maja, panie Alojzy - oznajmił po tym, jak skomentowałem, że jak taki „państwowy aktywista” zabrał się za organizację tego plebiscytu, to jego fiasko już wisi w powietrzu. - Oni je odwołają. Istnieje zbyt wiele przesłanek do ich unieważnienia.

- Nie mogą przecież odwołać wyborów bez podania przyczyny, Tomku.

- Wystarczy, że wskaże je Państwowa Komisja Wyborcza, panie Alojzy.

- Jak to możliwe? - zdziwiłem się.

- Ja to widzę tak - wyjaśniał. - zaproponowali głosowanie korespondencyjne, które nie spełnia żadnych kryteriów wyborczych. Jest jakimś niedopracowanym pomysłem na przeprowadzenie wyborów w warunkach kryzysowych. Sejm to już przegłosował na korzyść rządu, ale Senat zawetuje, a potem wyśle ponownie do Sejmu, który i tak przegłosuje to „za”.

- Może jednak więcej ludzi „biedującego” Ministra zagłosuje wtedy przeciw?

- Panie Alojzy... - spojrzał na mnie z ironicznym uśmiechem. - Gdyby on rzeczywiście chciał to zablokować, to ludzie, których skupił wokół siebie już teraz zagłosowałiby jak on. A jemu nawet nie przeszkadza, że praktycznie go osierocieli. To jest kolejna zasłona dymna.

- Tak myślisz?

- Właśnie tak. Pocztowiec zajmie się tym plebiscytem. Sam pan przecież powiedział, że jego fiasko już wisi w powietrzu. Senat skupi się na podważeniu konstytucyjności wyborów korespondencyjnych i przetrzyma to ile się da, w przekonaniu, że to coś zmieni. Że ten plebiscyt się nie odbędzie, choćby dlatego, że zabraknie na to czasu, nawet jeśli Sejm przegłosuje to na korzyść rządzących. Tyle, że właściwy organ wyborczy nie wykona w międzyczasie tego, do czego został powołany, a jak zniknie jeszcze ostatnia przeszkoda... - zawiesił na mnie swój wzrok.

- O, cholera - wyszeptalem. - Może dlatego nie wprowadzili jeszcze stanu wyjątkowego. Przecież kadencja prezes kończy się 30 kwietnia, a ważność wyborów stwierdza Sąd Najwyższy.

- Tak właśnie rozumię - potwierdził moje przypuszczenia Tomek. - Przy tym cały czas obowiązuje ten sam kalendarz wyborczy Będzie za mało czasu by zorganizowano wybory korespondencyjne dziesiątego. Państwowa Komisja Wyborcza nie przeprowadzi ich też w sposób tradycyjny, bo nie będzie w stanie. W tym wyborczym pieprzniku wszystkim chyba umyka, że pozbawiony skrupułów, a przy tym bardzo doświadczony gracz polityczny nie zawaha się wyciągnąć kolejnych, mających niewiele wspólnego z prawem kart, skoro ma gdzieś najważniejszy akt prawny. 10 maja nie będzie wyborów, panie Alojzy, z powodu braku ich przygotowania przez Państwową Komisję Wyborczą, która będzie jeszcze zmuszona to ogłosić. A co potem zrobi Sąd Najwyższy? Tego nie wie nikt.

- Uważasz, że niezależnie od tego, co uda się osiągnąć opozycji w tej wyborczej przepychance i tak nie zaszkodzi to kandydatowi rządowi?

- Tak. Bo takie mamy społeczeństwo. Choć bardzo ucieszyłaby mnie moja pomyłka.

- Możesz mieć rację, Tomku - przyznałem po chwili zastanowienia. - Jeśli ktoś bazuje stale na ludzkich obawach i strachu, to stan epidemii może być mu nawet na rękę. A wirus, który jedynie niszczy zdrowie fizyczne i nawet zabija ludzi, może jeszcze lepiej zasłonić intencje tych, którzy wytrwale rozdierają tkaninę społeczną i niszczą ludzką psychikę.

- No właśnie. Mamy teraz nie tylko stan zagrożenia epidemicznego w kraju, panie Alojzy, spowodowany chińskim wirusem. Mamy pogłębiający się coraz silniej epidemiczny stan umysłu bardzo wielu ludzi. Ale za ten stan odpowiadają wyłącznie nasze polskie wirusy: przekonanie o naszej wyjątkowości, nieumiejętność wyciągania wniosków z przeszłości, podejrzliwość, pieniactwo, pseudopatriotyzm, religianctwo... Jest tego całkiem sporo. Dlatego uważam, że każdy zawodowy polityk powinien przechodzić okresowe badania psychiatryczne, bo obciążenia psychiczne, którym podlegają podczas różnych rozgrywek, nawet jeśli są w nich jedynie pionkami, są olbrzymie. A pokusy, które im towarzyszą mogą niejednego z nich zapędzić w jakiś kozi róg.

KONIEC ...



„...Lecz nade wszystko - słowom naszym,
Zmienionym chytrze przez krętaczy,
Jedyność przywróć i prawdziwość:
Niech prawo zawsze prawo znaczy,
A sprawiedliwość - sprawiedliwość.”

(Julian Tuwim „Kwiaty Polskie” - fragment wiersza „Modlitwa”)

Jeszcze raz od autora:

Zakończyłam snucie opowieści w miejscu, które uznałam za najlepsze dla mnie, pisarza. Jeśli jednak pozostawiłam Ciebie, Czytelniku, w jakimś zawieszeniu, może i niedosycie, to wiedz, że zrobiłam celowo.

dorotapisze.wordpress.com

ISBN 978-83-955922-1-8